Numer 13. Nalež. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 29 Marca 1931**

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Zagadka.

— Moryc! Zgadywaj zagadki!

— Czemu nie? Będę zgadywałem.

— Ma dwa nogi, jest całkiem czarne i lata w powietrzu.

— Co to za zagadkie? Przecie to jest wrona!

— Zgadłeś! Masz kepełe. A co to jest? Ma cztery nogi, jest taksamo czarne i tyż lata w powietrze?

— Ćtery nogi? I lata? Mm. Co mozie latać w powietrze z ćteremi nogami? Nie wiem...

— To ja ci powiem: dwie wrony.

— Uj, cholere na ciebie! Ali ty jezdesz fylozof!

— A teraz zgadywaj... ma sześć nogi, jest tyż taksamo czarne i tyż lata w powietrze?

— He, he, trzy wrony...

— Taak? Żeby tak zdrowy biłeś, jak zgadłeś! A tak, napsikład, mucha, to nie?

Droga podkowa.

— Czy wiesz, że Ferdek dostał rok kryminału za kradzież podkowy?

— Niemożliwe! Za głupią podkowę?

— A tak; bo do podkowy był przybity koń.

Niemuzykalny pies.

— Mógłby pan swego psa komu podarować. Wczoraj znów wył przeraźliwie, gdy moja córka śpiewała.

— Bardzo przepraszam, ale pańska córka pierwsza zaczęła.

Proszek na sen.

— Czy spał pan dobrze tej nocy?

— Nie; panie doktorze, ani oka zmrużyłem.

— Może pan nie zażył proszków, które zapisałem?

— Owszem, zażyłem, ale jak sobie pomyślałem, że za tę odrobinę soli, czy gipsu, zapłaciłem 12 złotych, to mnie taka wściekłość porwała, żem nie mógł usnąć.

Nowy katolik.

Nuchem Rozencwajg zmienił wiarę. Nazajutrz chrzcie spotyka go serdeczny przyjaciel, żyd, i powiada:

— Serwus, Nuta! Jak ci się teraz powodzi?

— Po pierwsze: nie Nuta, tylko Nikodem — a po drugie: nie gadam z takim parszywym żydem jak ty!

— Czego ty taki wielki puryc? Przecież ja się także wnet wychrzczę. Powiedz mi przynajmniej, dlaczego wziąłeś sobie takie dziwne imię „Nikodem?"

— Co miałem brać? Napoleon? Mam całą bieliznę znaczoną literą N i trzebaby wypruwać wszystkie znaki i robić nowe.

Odciął się.

— Ależ pan ma wielkie uszy!

— Gdyby je dać na pańską głowę, byłby kompletny osioł.

Numer 13. Rok XIV. Kraków, dnia 29 marca 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Wielki Tydzień.

W czasie wielkiego postu przypomina nam Kościół św. cierpienia, mękę i śmierć Zbawiciela, za grzechy całego świata. Przypomina nam owe bolesne sceny ostatnich chwil życia Jezusa od Ogrojca aż do Kalwarji, gdzie się dopełniło dzieło odkupienia. Żaden okres w roku nie ma tak pełnych znaczenia i budujących ceremonij jak Wielki Tydzień. W nim bowiem wydarzyły się sprawy, które światu całemu zbawienie przyniosły, dlatego też Kościół swymi obrzędami chce zwrócić na nie naszą uwagę w szczególniejszy sposób.

Pierwszy dzień Wielkiego Tygodnia, to „Niedziela Palmowa". Nazwę swą wzięła od tego, że w dniu tym święci Kościół św. najwcześniejsze dary odradzającej się przyrody, to czem najpierw uśmiecha się zmartwychwstające życie ziemi — święci palmy. Samo święcenie palm jest wzniosłą pamiątką, bo przypomina nam uroczysty, triumfalny wjazd Zbawiciela do Jerozolimy, kiedyto mieszkańcy tego miasta, rzucali na drogę, którą jechał Zbawiciel, kwiaty, gałązki drzew, a nawet rozścielali swe ubrania, wołając przytem: „Hosanna Synowi Dawidowemu".

W Wielką Środę, Czwartek i Piątek odprawiają po kościołach kapłani „ciemne jutrznie". Nazwę swą otrzymały od tego, że jutrznie te odprawiano niegdyś po kościołach bardzo rano, wśród ciemności nocnych, w czasie których śpiewane bywają treny, czyli narzekania proroka Jeremiasza, które śpiewał niegdyś na gruzach Jerozolimy, opłakując jej upadek i niewolę żydów.

Dzień Wielkiego Czwartku przypomina nam niepojętą miłość Zbawiciela ku nam, zostawiającego siebie samego na ziemi, przez ustanowienie Najświętszego Sakramentu. W dniu tym zapomina niejako Kościół św. o smutku, jakim napełnia Go przyszła męka Zbawiciela, ze względu na ustanowienie Najśw. Sakramentu. Msza św. odprawia się w kolorze białym, podczas „Gloria" odzywają się organy i wszystkie dzwony kościelne. Na pamiątkę, że Chrystus Pan po ostatniej wieczerzy umywał nogi swym Uczniom, odbywa się po mszy św. zwykle tylko w kościołach katedralnych, umywanie nóg 12 starcom, w Rzymie zaś umywa papież nogi 12 kapłanom, poczem zaprasza ich na skromną ucztę, przy której sam im posługuje. W dniu tym wśród mszy św. odbywa się święcenie Olejów św., mianowicie: Oleju dla chorych, dla katechumenów i krzyżma, potrzebnego do bierzmowania. Po nabożeństwie obnażają ołtarze z obrusów i wszelkich ozdób.

Wielki Piątek to dzień męki i śmierci Zbawiciela. Kapłan na znak wielkiego smutku przystępuje do ołtarza w czarnym ornacie i upada krzyżem, aby wyrazić wielką boleść, która chrześcijan przejmuje z powodu męki i śmierci Zbawiciela. W dniu tym msza św. się nie odprawia, jedynie papież, jako namiestnik Chrystusa sprawuje dziś bezkrwawą ofiarę. Po tej liturgji odbywa się żałobna procesja, która przedstawia złożenie Chrystusa do grobu. W czasie nabożeństwa odzywają się grzechotki zamiast dzwonów, by wyrazić przez to nasz głęboki smutek i pobudzić się do tem większego żalu za grzechy nasze.

Obrzędy Wielkiej Soboty są wesołe. W kościele cisza i ciemność. Dzieje się to na pamiątkę spoczynku Pańskiego w Grobie. W dniu tym odbywa się po kościołach święcenie ognia, paschału i wody. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa udzielano w Wielką Sobotę chrztu katechumenom i dorosłym, zarazem zdrowym osobom, które się z pogaństwa do

wiary katolickiej nawróciły; chrześcijanom udzielano Bierzmowania, a w czasie mszy św. biskup święcił kapłanów. Wieczorem w sobotę odbywa się po niektórych parafjach uroczysta „Rezurekcja" przy rzęsistem oświetleniu kościoła i salwach moździerzowych. W Wielką Sobotę odbywa się również święcenie darów t. zw. „święconego". Święcone to jakoteż i wilja są zabytkiem dawnych uczt miłości. Święcą mięsiwa na pamiątkę baranka wielkanocnego, chleb i rozmaite pieczywa przypominają nam chleb praśny u Izraelitów, jaja znowu są obrazem zmartwychwstania.

Piękne obrzędy Kościoła katolickiego są nieocenionym wprost skarbem, z którego powinniśmy czerpać naukę i zbudowanie. Powinniśmy przeto ceremonje te dobrze rozważyć i zrozumieć, aby wyciągnąć z nich tem większy pożytek dla dusz naszych.

Piotr Wenc.

Cecora.

Powieść historyczna.

Raz jeden tylko, po onem zwierzeniu się wzajemnem, siedząc na balkonie od wjazdu, gdy Halszka westchnęła, uczyniła to samo i rzekła:

— Żałość jest ciągle między nami.

— Myślałem o tobie, Marychno, bardzo długo!

— A Kostek? — spytała panna Daniłłowiczówna.

— Czy on o mnie myśli...

— Musi myśleć, bobyśmy tak często o nim nie mówiły.

— Żebyż to prawda była!

— Mówiłaś mi sama, jak żegnał ciebie i co przy pożegnaniu rzekł.

— Pies ze mnie, jeżeli nie będę twój!

— A widzisz!

— Lecz i o niestatku coś wspominał.

— To przedtem.

— Pocieszasz mnie.

— Ciebie jeszcze pocieszyć można — szepnęła Marychna.

— Wżdy i ty nie wątpiłaś o swojem szczęściu.

— To jeno tak się mówiło, Halszko, tak się mówiło. Ale jak w myśli stanie śmierć miłego i to śmierć, którą sam sobie zadał — pocieszenie wszelkie odlatuje za lasy i góry i już się napewno wie, że łez gorzkich ręka żadna nie obetrze...

— Nie płacz, Marychno! — pocieszała Halszka, tuląc ją ku sobie, ale ona uspokoić się nie dała, chlipała wciąż, przecząco główką poruszała, mówiąc:

— Nie — nie — nie...

Wtem zadudniło coś, na dziedzińcu zamkowym pojazd się jakiś ukazał. Dziewczęta podniosły głowy, a Marychna zerwała się szybko i krzyknęła:

— Koniecpolski!...

Halszka nie obejrzała się, jak znikła.

Skoczyła więc szybko za nią i zastała już Marychnę przed zwierciadłem, w narożnej baszcie, gdzie były ich pokoje sypialne. Poprawiała gorączkowo kukiełki włosów, zaczerwienione oczy od płaczu zimną przemywała wodą, uśmiechała się do odbitej w zwierciadle postaci swojej i stroiła się z pospiechem.

Halszka zatrzymała się wpół izby.

— To ty? — spytała panna Daniłłowiczówna.

— Ja Marychno!

— Nie mówiłam ci nic, że nocy dzisiejszej śnił mi się...

— Pan Stefan?

— Nie — tamten!

— I co? — spytała zdziwiona Halszka.

— Przyszedł do mnie i pocieszać zaczął: „Nie smuć się Marychno — prawił — a Koniecpolskiego weź i już!"

— Tak mówił?...

— Ze mnie kosteczki tylko ostały — mówił — nic ci po nich! Weź Koniecpolskiego, a rada będzie dusza moja.

— Twoja więcej — z uśmiechem odezwała się Halszka.

Marychna wyświeżona, uśmiechnięta, zwróciła się do Halszki.

— Jako mnie widzisz? — spytała.

W tej chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi i do izby weszła panna Suproniczówna.

— Spieszcie się, panny — odezwała się wesoło — zacny gość przyjechał.

— Co mi po nim! — rzuciła Halszka.

Stara panna trząść się zaczęła.

— Plichcik waćpannie do główki zajechał, Plichcik!... Grzeczny rycerz, to prawda! Ale zanim go Turek żywcem puści, nie zajmuj się nim, bo później odzwyczajać się od smutku trudniej będzie.

— Cioteczko! — jęknęła Halszka.

— A tu kawaler przybył, godny nie takiej dziewuchy, jak ty, aż pan wuj zaniepokoił się i szepnął mi: a ten czemu na Turka nie poszedł?

— Wujek by chciał, ażeby wszystkich młodych Turek powybijał — odezwała się Halszka.

— A on co ma w tem? — spytała Marychna.

Suproniczówna zaśmiała się.

— Jak kur między kurczętami sam chce być. Ale nic z tego. Spieszcie się panny! Hetmanowa przysłała mnie po was, ażebyście do izb dolnych zeszły. Halszka — popraw włosów! — zwróciła się do siostrzenicy — może w oko mu wpadniesz.

— Koniecpolski mój! — odezwała się nagle Marychna.

— Powiem to Jasinowskiemu, a weselszym się stanie, bo już się nachmurzył.

— Mój, mój, mój — powtórzyła trzykrotnie Marychna.

Skoczyła do Halszki, ucałowała ją serdecznie i wybiegła.

— To Koniecpolski jej? — spytała Suproniczówna. — Szkoda! — dodała po chwili. — Jak kawalera jakiego zobaczę, zaraz o tobie myślę...

Zbliżyła się do wyjścia.

— A pospiesz, Halszko!... Choć, gdy tak jest — rzuciła niechętnie — to i spieszyć bardzo nie trzeba.

Halszka została sama, o Marychnie myśląc.

— Jak to ludzie różnie miłują — szepnęła do siebie. — Czy jabym postąpiła tak samo, jak Marychna? Czy może czas jest tak mocny, że łamie ból wszelki i nawet pamięć pokrywa pyłem zapomnienia; powoli a nieustannie, garść po garści ziemi do rąk bierze i sypie, sypie, sypie... aż nic z onej pamięci nie zostanie?

I w myśli Halszki, ten czas wziął na się postać okrutnego grabarza.

— Plichta daleko — daleko... — szeptała w zamyśleniu bolesnem. — Czy jabym o nim mogła zapomnieć, wtedy nawet, gdyby był zabity?

Niewołane myśli, jak fale wzburzonego potoku płynęły szybko, dziwne mary i widzenia przynosząc. Oto dwa wielkie wojska zbliżają się ku sobie. Pochylają się kopje, szable się wznoszą...

Bój, bój zacięty — szczęk, gwar, morze krwi... Plichta walczy, jak lew — aż oto ku niemu zbliża się olbrzym jakiś... może sam Kantemir...

Ciął strasznie — i on się zwalił na wznak...

Zbliża się hetman, zbliżają się wodze; na krwawych proporcach niosą ciało martwe, w oczach rycerzy świecą łzy... Grób kopią, — nad grobem staje ksiądz i mowę ma... Prawi o rycerskich czynach Plichty, o jego śmierci bohaterskiej... mówi nawet, że miłował Halszkę Jaszczołdównę.

Słychać śpiew...

To śpiewają: „Salve Regina!...“

Ilu rycerzy jest, tyle grudek ziemi spada... Sypią — sypią — sypią...

I podniosła się mogiła wśród stepów i pozostała — samotna!...

Mija dzień i rok i lat dziesiątek. W dalekiej, samotnej mogile leży miły twój... Kosteczki jeno ostały — nic ci po nich!...

Zapomnij!... zapomnij!... zapomnij!...

— Boże, ratuj! — krzyk nagły wypadł z piersi Halszki.

Nie opamiętała się jeszcze, jak szybko drzwi się otworzyły i w progu stanął Jerzyk.

— A ty tu co robisz? — spytała Halszka, przychodząc do siebie.

— Krzyknęliście — odpowiedział młodzianek, a twarz przed chwilą blada, purpurą się pokryła.

— Tak... prawda? Ale coś robił pod temi drzwiami?

— Przechodziłem mimo... gdy posłyszałem wasz krzyk.

Halszka podeszła do Jerzyka i w oczy mu spojrzała.

— Przechodziłeś?... mimo?...

— Tak, pani! — szepnął.

— Przecz schody kończą się u drzwi tych. A ty — przechodziłeś mimo?... Dokąd więc szedłeś?...

Zapytanie to i oczy Halszki, utkwione w jego źrenice, zmięszały młodzieńca. Przechodzić nie mógł — skłamał. Miał tylko iść do drzwi tych — i tak było. Śliczna twarz Jerzyka pobladła, a usta trząść się zaczęły. Wykręty na nic, musiał prawdę powiedzieć — więc rzekł:

— Nie gniewajcie się, pani!

— Coś tu robił? mów zaraz! — pytała Halszka.

— Chciałem was zobaczyć przechodzącą... — ledwie dosłyszanym głosem wyszeptał.

Halszka uważniej spojrzała mu w oczy, a lekki rumieniec twarz jej zabarwił.

— Mnie zobaczyć?...

— Nie gniewajcie się... przebaczcie...

I w tej chwili za czoło się ujął, rzucił się ku drzwiom i wybiegł.

Halszka słyszała, jak zbiegał ze schodów, a kroki mu się plątały. Coś w myśli jej się rozwidniło, niewiadomo dlaczego przypomniało się jej opowiadanie Marychny o samobójstwie synowca hetmana i jego słowa:

„Nie chciałem tak!“

Jakiś strach ją ogarnął, przeczucie możebnego szaleństwa z jej przyczyny, choć bez jej winy. Rzuciła się więc ku drzwiom, wybiegła na schody i słysząc oddalające się, szybkie, a nierówne kroki młodzieńca — krzyknęła na cały głos:

— Jerzyk!

Zatrzymał się.

Halszka, jak strzała po schodach zbiegła do sieni wielkiej i stanęła tuż przy nim. Pierś jej falowała szybko, błękitne oczy przestrachem patrzyły. Chwyciła Jerzyka za rękę i rzekła:

— Co tobie jest! co tobie jest?

— Nic — nic... Jeno nie gniewajcie się na mnie.

— Ja i gniew!

Zaśmiała się.

— I coś ty mądrego powiedział?

— To prawda! prawda!

— Dlaczegoś uciekał tak?

— Przed grzechem ucieka się zawsze. A ja skłamałem, pani!...

— Niedobrą jakąś myśl miałeś.

— Przed wami nic się nie ukryje.

— Powiesz mi prawdę?

— Rozkażcie, a choćbym zmarł... powiem!

— Myślałeś o...

— ...śmierci.

Halszka drgnęła.

— Skąd ci to przyszło?

— Z patrzenia na was!

— Jerzyk! miej ty rozum...

— Wiem jeno, że mam serce...

Halszce zakręciły się łzy w oczach.

— Czy chcesz mojego nieszczęścia?

— O nie, nie, nie, nie! — podchwycił szybko.

Ujął jej rękę i całować zaczął, łkanie tłumiąc.

— Jerzyk!

— Lżej, lżej, lżej mi! — pełniejszym odezwał się głosem. — Nie gniewajcie się jeno i zapomnijcie o tem, co było.

— Dziś z zamku nie wyjdziesz.

— Ostanę, jak tylko każecie.

— Pan Koniecpolski przyjechał, siła nam rzeczy opowiadać będzie, może i o rycerskie sprawy zaczepi — wzmożesz się!

Jerzy spochmurniał, jak noc.

— A co do rycerskich spraw chłopskiemu synowi — szepnął. — Ale ostanę... słuchać będę... Lżej mi!... — powtórzył, wstrząsając piękną głową, aż kędziory włosów złocistych rozsypały się na ramiona.

Halszka raz jeszcze spojrzała na młodziana. „Przychodź!“ — powiedziała i weszła do komnaty, gdzie już wszyscy mieszkańcy zamku zgromadzeni byli. Nie brakło nawet i pana Baltazara, który na wieczerzę przez hetmanową zaproszony został. Witano właśnie pana Koniecpolskiego, który spostrzegłszy Halszkę, zbliżył się do niej w kawalerskich ukłonach.

Był to mąż lat trzydziestu kilku, o głowie podgolonej, wąsach polskich, niewielkiej, czarnej brodzie; srebrzysty żupan w łuski rybie tkany pięknie odbijał się od karmazynowego kontusza, złotolity pas oczy w siebie wbierał, a szabla, którą odpiął właśnie i pachołkowi oddał, świeciła od brylantów i drogich kamieni.

Zbliżył się do Halszki i rzekł:

— Panna Jaszczołdówna, jeżeli się nie mylę.

— A skąd waszmość, tak odrazu, wiesz o tem? — zapytał Jasinowski. — Nie wiem nawet, czyś o jej egzystencji słyszał kiedy?

— A widzisz waszmość, że wiem; wiem nawet kiedyście przyjechali do Żółkwi.

— A to jak? wżdy waszmość w Krakowie bawiłeś.

— A jadę z pod Buczacza, z obozu hetmańskiego.

Powstał szmer nagły, wszyscy podbiegli do Koniecpolskiego z okrzykiem radości, jeno Jasinowski spochmurniał i policzki wydął, jeno okrzykiem nie zadzwoniła pierś Halszki, bo tchu jej zbrakło, a w oczach odmalowała się niepewność czy trwoga, może niepokój, że z wieści tych przyniesionych, żadnej dla niej nie będzie.

— A mówże nam waszmość! a mówże! — zawołała Żółkiewska. — Jakże się Stanisław ma? Jaki duch w wojsku? Czy są pewni zwycięstwa?

— Z Turkiem — pewni?... — mruknął Jasinowski.

Daniłłowiczowa i Koniecpolska zaczęły o mężów rozpytywać. Tosieńka terkotała jak grzechotka: „A tatuś zdrów? a tatuś zdrów?" wciąż wołając — Bekas nawet o Kurzańskiego zagadał — jedna Halszka tylko pytać o nic nie śmiała, choć serce jej biło niepokojem największym. (Ciąg dalszy nastąpi).

Potęga krzyża.

Drogą, wysadzaną topolami, prowadzącą od dworu, poprzez wioskę ku kościołowi, szła elegancko ubrana, młoda kobieta. Szła powolnym krokiem, apatycznie ziewając i wdychając w siebie powietrze, przepełnione aromatem wiosny.

Ciepły, miły wietrzyk wiosenny, rozwiewał figlarnie jej krucze włosy, muskał pieszczotliwie zadumaną, piękną twarz, lecz obojętną na budzącą się do kwiecianego życia, przyrodę.

Bez najmniejszego zachwytu, patrzała na cudnie zachodzące słońce, rzucające krwawe purpury na szarą jeszcze ziemię, złocąc prześlicznie słomiane dachy wieśniaczych chatek. Zagrało przepysznie cudną grą kolorów na błyszczącym dachu i witrażach. Nie zwracając uwagi na cuda wiosny, szła bezwiednie, bez celu naprzód! Nie wyszła ona podziwiać wiosennego wieczoru, lecz wypędziła ją z domu okropna nuda. Pragnęła rozerwać się i zabić ten wieczór i rozmyślała, jakby go spędzić. Do miasta dziś niema poco jechać, wszak to Wielki Piątek, więc kina, teatry i dancingi zamknięte!...

— No, już niedługo skończą się te komedje wielkopostne — myślała z radością, idąc zwolna i układając plany na przyszłe bale, wieczorki, jak się ma ubrać, jak urządzać zabawy, czem i jak oczarować mężczyzn i t. d.!...

Pochłonięta temi myślami, szła, marząc o czekających ją przyjemnościach, aż znalazła się, sama nie wiedząc kiedy, przed bramą kościółka!... Na dworze już się ściemniło, szary zmrok brał w posiadanie rozgrzaną, wilgotną ziemię, z której unosiły się białe opary, tworząc czarodziejskie, tajemnicze dymy!

Błyszczał jeszcze oświetlony zorzą wieczorną złocisty krzyż na wieży kościółka, z którego dochodziły echa smętnej melodji! Przystanęła, słuchając jękliwych głosów, zamierzając wrócić do domu, lecz tknięta ciekawością zmieniła swój zamiar i skierowała swe kroki do bram kościoła!...

— Zobaczę, jak to teraz w kościele, tak dawno nie byłam — pomyślała.

Otworzyła drzwi i weszła, rozglądając się ciekawie.

Kościół tonął w półmroku, oświetlona była tylko boczna nawa, żółtym płomykiem woskowych świec, palących się przy grobie Zbawiciela!... Usiadła w ciemnym kącie, niewidziana przez nikogo, obserwując.

Słuchała ciekawie smętnych melodyj o męce Pańskiej, śpiewanych pobożnie przez lud. Widziała kobiety, mężczyzn i dzieci z rękoma pokornie złożonemi, ze łzami w oczach, czołgających się na kolanach, by ucałować święte rany Ukrzyżowanego i wyprosić zmiłowanie Boże!...

Słyszała dokoła siebie cichy płacz i szloch!... To lud płakał, modlił się, błagał i przepraszał Chrystusa za swoje winy...!

Uroczysty, pogrzebowy nastrój, zaczął udzielać się młodej kobiecie. Odruchowo złożyła ręce, a wargi jej poczęły szeptać słowa modlitwy, nie odmawianej przez kilka lat, z trudem sobie przypominając...! Gdzieś w głębi niecałkiem zepsutej, zbłąkanej duszy, odezwały się cicho wyrzuty sumienia. Poczęła modlić się żarliwie, by tem uśpić sumienie, ale ono coraz mocniej pukało do jej serca i duszy, przypominając całą przeszłość!...

Chłostało ją niemiłosiernie, odsłaniając nagą prawdę życia i jej postępki!

— Uganiałaś się tylko za powabami tego świata i rozkoszami cielesnemi. Zapomniałaś i wyparłaś się Boga, który tyle wycierpiał dla dobra ludzkości. Przez dwanaście lat nie byłaś w kościele, a przez ten czas usta twoje nie wymówiły słowa modlitwy — oskarżało ją sumienie!

Smagana, przygwożdżona temi wyrzutami, ukryła twarz i cicho płakała. Posłyszała jakiś cichy głos: „Nawróć się z tej drogi, póki jeszcze czas..."

Wówczas w jej sercu jakby coś pękło!...

Przejrzała i zrozumiała, jak błędną drogą szła przez życie, jak ciężko obrażała Boga!

Nie mogła słowa wykrztusić ze ściśniętego żalem gardła, zalana łzami, wzniosła swój wzrok na Chrystusa rozpiętego na krzyżu, z niemą bolesną rozpaczliwą prośbą: „Chryste przebacz". I ujrzała przesmutne oczy Zbawiciela patrzące na nią z łagodnym uśmiechem i oto zdaje się jej, że usta Jego wyszeptały: „Pójdź do mnie!..."

Pociągnięta jakąś siłą, wstała ze swego miejsca i runęła na kolana! Doczołgała się do krzyża, lecz usta jej nie tknęły świętych ran, czuła się niegodną. Z wybuchem łkania i szlochu upadła z rozkrzyżowanemi ramiony przed krzyżem!...

I długo tak pozostała... ciałem jej wstrząsały ogromne spazmy i dreszcze!...

Po pewnej chwili, gdy się ocknęła z tej bolesnej ekstazy, wstała z wysiłkiem, z twarzą uduchownioną!...

Odnalazła drogę do Boga!

Wyszła z kościoła, kierując się na plebanję, gdzie mieszkał siwy, jak gołąb, staruszek ksiądz. Chciała czemprędzej zrzucić z siebie ciążące niezmiernie brzemię grzechów, oczyścić swą duszę i przygotować się na dalszą drogę pokutniczego życia, poświęcając się tylko Bogu i spędzić resztę żywota w ponurym klasztorze, jako siostra — Teresa!...

Antoni Kurek

Okrutne biczowanie Pana Jezusa.



Gdy się czyta dzieje męki i śmierci Pana Jezusa, to poprostu wierzyć się nie chce, aby mogło w sercach ludzkich nagromadzić się tyle złości, nienawiści, bestjalstwa. A jednak opis jest tylko słabym opisem, a rzeczywistość przechodziła najstraszniejsze opisy. Nawet serce Piłata, który przecież był poganinem, zadrżało na myśl niewinnej męki i śmierci Pana Jezusa, nawet ten Piłat chciał Go ratować przed zapalczywością żydowską. Bo oto, gdy przyszli do niego żydzi, aby skazał Pana Jezusa na śmierć krzyżową, Piłat wyprowadził przed ich oczy opryszka, bandytę, Barabasza i Pana Jezusa i zapytał:

— Którego chcecie, a wypuszczę wam: Barabasza, czy Jezusa?

Myślał Piłat, że gdy da żydom do wyboru niewinnego Jezusa i mordercę Barabasza, to ci zgodzą się na uwolnienie Jezusa, a na stracenie Barabasza. Ale djabeł zupełnie opętał umysły żydowskie. To też zaczęli krzyczeć:

— Wypuść Barabasza! Wypuść Barabasza!

— Cóż tedy uczynię z Jezusem? — pyta Piłat.

— Niech będzie ukrzyżowan! — wyje tłum podburzony przez kapłanów żydowskich i faryzeuszów.

Przepadł pomysł Piłata, lecz mimo to chce on wyrwać Pana Jezusa z rąk żydowskich, dlatego myśli: Każę go ubiczować, może lud zadowoli się karą chłosty i nie będzie żądał jego ukrzyżowania.

— Ubiczować! — rozkazał Piłat i już kaci ciągną Pana Jezusa na dziedziniec pałacu. Zdzierają z Niego szaty. Najświętszy i Najczystszy wstydzi się... Przywiązawszy Go do kamiennego słupa, zaczynają oprawcy smagać rózgami i biczami z rzemieni, zaopatrzonemi na końcu kulkami z ołowiu, albo haczykami. Rumieni się Pan Jezus od krwi... Ramiona Jego stają się czerwone, sine, potem krew z nich tryska. Razy nie ustają! Już krew się leje strumieniem. Kaci okrutni, a jest ich ośmiu. Gdy się dwóch zmęczy, przystępują inni i sieką dalej. Całe plecy Jezusa to wielka rana, krew Przenajświętsza bryzga na wsze strony, ciało posiekane odpada, nagie sterczą kości. Barbarzyńska, okropna kara za winy niepopełnione.

Wreszcie skończyło się biczowanie. Odwiązano Jezusa od słupa i Pan nasz upływem krwi i bólem złamany upadł na ziemię i leżał we krwi własnej, jak robak zgnieciony. Na swoją ofiarę patrzą kaci nieczuli i w swej dzikości wymyślają nowy rodzaj katuszy dla swego Zbawcy.

Oto wciągają Jezusa do ratusza i tam ku wyśmianiu niepojętej dla siebie godności Jego królewskiej sadzają Go na miejscu podwyższonem, niby to na tronie i z szatańską radością wiją Mu straszną koronę z cierni i te nielitościwie wkładają na skronie. A ponieważ korona na głowie nie chce się utrzymać, przytłaczają ją żelaznemi rękawicami z taką siłą, że za każdem uderzeniem nowa, bolesna zakrwawia się rana, że długie i ostre kolce, jakby igły z ognia, przebijają skórę i wciskają się w czaszkę. Krew się sączy po obliczu Jezusa z ran powolnie, a potem obficiej, a tłuszcza woła:

— Ubierzmy Go po królewsku!

Więc zwlókłszy z Pana Jezusa szaty, w które Go ubrali po ubiczowaniu, zarzucają Mu na ramiona brudną, stęchłą, oplwaną czerwoną płachtę niby to płaszcz królewski, w rękę wciskają trzcinę, która miała wyobrażać berło królewskie i podchodząc do Jezusa z urąganiem i szyderstwem, otaczają Go kołem, jakoby usłużnych dworzan, przyklękają przed Nim, niby to oddając hołd poddańczy, a przytem szydzą głosem pełnym pośmiechowska:

— Bądź pozdrowiony królu żydowski! Hosanna.

Wszystko to jednak było na nic, gdyż ostatecznie Piłat był zmuszony wydać wyrok śmierci na niewinną ofiarę zapalczywości żydowskiej.



MACIEK BZDURA GADA:

Chwała Panu Jezusowi, Matce Przenajświętszej, wszyćkiem świętem tak w niebie, jako i na ziemi, ze ten wielgaśny pust juz się za parę miesięcy skońcy i niejednemu wtencas zywot się dokumentnie naprawi! Bo jakby tak dalej szło, to brzuch przysechby człekowi do pleców, a jeden policek do drugiego tak, zeby gęba całkiem zarosła i byłaby zapóźni do nicego potrzebna. Jakby się to stało Kaśce, albo jakiej inksej babskiej trajkotce, toby tam, chwalić Boga, nie było nic najgorsego, ale la ućciwego cłowieka, co poza jedzeniem do nicego inksego gęby nie otwira, toby było prawdziwe niescęście.

Jednej rzecy ino se nie mogę całkiem wytłomacyć. Zdaje mi się przecie, ze jak Poniezus stworzył pust, to chyba stworzył go la wszyćkich ludzi, a przecie wiadomo, ze nie wszyscy ludzie jednakowo go obchodzą. Ja naprzykład od samej środy popielcowej, jaz do Wielgaśnej Niedzieli poscę od wszyćkich dziesięciorga przykazań, a juz taka moja gospodyni, Boże odpuść, to pości moze najwyzej od dwóch albo trzech. A i to poscenie gospodyne a moje nie jest jednakowe. Bo weźmy na ten przykład takie jedzenie. Ja bez calusieńki pust ni miałem na podniebieniu nietylko ani krztynki świńskiego ogona, ani nawet ociupinki krowiego masła cy mlika, ani zadnego kurzego owocu. Zimniocków to mi ta, nie wymawiając, moja gosposia, Boże odpuść jem wszyćkie grzychy, jak będą w piekle, nie załowali, ale przecie i zimniackowi, jak idzie sam do wanciucha, to się przykrzy, i długo tam nie posiedzi ino corychlej na świat się wydzira. Zreśtą nic dziwnego, bo i człeka, gdyby kto nawet do hrabiowskiego brzucha samego wtrynił, toby się dar na świat, jazby powietrze piscało, ale jakby go tam kto wsadził z jaką Kaśką, albo inksą Baśką, toby się przytulił do niej i wyjśćby mu się stamtąd nijak nie chciało. Taksamo jest i z zimniackami: samem się przykrzy i drą się na światłość ziemską, a we wnątrzu robi się taka pustać, jak w lesie, który dostanie się w zydowskie ręce, a ino wiatry tam świscą, kieby na halach tatrzańskich. I zeby człeka do cna nie rozerwało, trzeba znowu wnątrze cem zaspokoić. I tak ciągiem i ciągiem bez całe siedm tygodni, a potem miescuchy powiadają, ze chłop zrenicem nieboskie stworzenie.

Co inksego gospodyni. Oni se w cichości ducha podleją zimniacki mlickiem, podmascą masełkiem, a casem to i świńskiego ogona kawałecek w siebie włozą i choć tych zimniocków niewiele w siebie wsuną, to one tam siedzą sobie spokojnie w towarzystwie ućciwem i zacnem. Wszyćkiemu tam jest dobrze, to się na świat nie wyrywa, ale pędzi przez parę dni zywot wesoły. Latego gospodyni mniej i rzadziej muszą gębę do jedzenia otwierać, ale zatocęściej uzywają jej do wyrcenia na mnie lub na gospodarza tak, ze się jem prawie od świtania do wiecora nie zamyka. I w tem jest całe zło, bo jakby gosposina jadacka więcej pracowała la zołądka, tobyśmy z gospodarzem mieli spokojniejsy zywot.

A weźmy znowu takiego hrabiego z wielgiego miasta, co to albo w sklepie kisecki sprzedaje, albo w jakiej fabryce robotnicemi rękami różności wyrabia, to on jesce mniej wsuwa w siebie od mojej gospodyni. Ale co wsuwa? Jak przyndzie święty pust, to on idzie do jegomości w parafji i powiada, co on musi ciązko pracować, to się mu nalezy jakasik ulga la zołądka. Składa ochfiarę na kościół, bo ma piniędzy, jak nie przymirzając kuzda baba pchłów, i dostaje dyspengzę, co mu wolno jeść dwa razy na dzień, ile chce i co chce. I taki hrabia miastowy obsyrmuje pust, jak się patrzy. Gdy wstanie raniuteńko wele południa, kaze se przyniść na przetrącenie kawałecek świniny (choć hrabia, ale takiem paskudnem mięsem się nie brzydzi) i jaką godzinkę albo dwie przed połedniem se to przetrąci. On tego nie nazywa jedzeniem, ale poranną przekąską. Zwykle w samo połednie podają mu śniadanie. Niewiele tam tego: pół kopy jajecek na miętko, casem półfuncik synki, bułecka z masłem i jakie styry albo pięć herbatek i na tem musi bidacyna poprzestać. Zato wele trzeciej po połedniu obiad smakuje mu znakomicie, choć i teraz ze względu na święty pust zołądcyska nie przeładowuje. Wystarcy mu parę kotlecików, parę snycełków, a potem leciutka leguminka, ot naprzykład ze dwadzieścia ruskich pirozków, a następnie likierek, butelcyna winka i krztynka carnej kawy, z cem musi napół głodny przechodzić do jakie szóstej godziny wiecorem. I to wedle otrzymanej od jegomościa dyspengzy jest dopiero pirse jedzenie, a drugie przychodzi dopiero wele dziesiątej w nocy. Do tego casu gęba mogłaby się całkiem od jedzenia odzwycaić, więc bidacysko, chcąc nie chcąc, musi ją wele szóstej godziny cemsik zająć. Ciapnie tam ni to ni owo, najcęściej parę garnusecków białej kawy, styry lub pięć bułecek z masłem i syrem i ceka bidacysko wiecoru, jak zmiłowania Bożego. A i wiecór myślicie, ze się opcha zimniackami, jak jaki chłop ze wsi? Broń Boże! Przecie to pust święty, więc nie będzie brzusyska opychał byle cem, ale wsunie se z pół funta synecki, potem kawałecek kacaski, albo gąski, popije winkiem lub piwkiem la umartwienia i prawie o głodzie idzie na całonocny spocynek.

I juz taka jest niesprawiedliwość na tem świecie, ze chłop nawet w poście obzyra się, ze się ruchać nie moze, a bidny hrabia pości, jak na pobożnego katolika przystało. I jesce za to musi zapłacić na kościół, zamiast kupić se packę tutoniu, albo tabaki.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Tunis V.

Jednem z najstarożytniejszych miast w północnej Afryce jest Gafsa. W dziele swem pod tytułem: „Wojna z Jugurtą“ Salustyusz wyraża się o niej w następujący sposób: „Wpośród rozległej pustyni wznosi się wielkie i potężne miasto, którego założenie przypisują ogólnie Herkulesowi Libijskiemu. Dokoła tego grodu rozciąga się płaszczyzna naga i jałowa, obfitująca w węże, które brak żywności i wody, wraz z nadmiernym upałem, rozdrażniają do najwyższego stopnia“. Inny historyk tak znów powiada o tem mieście: „Miasto założone przez Herkulesa w pośrodku Afryki, bronione jest przez węże i nieprzebyte piaski“.



Cytadela w Gafsie.

Opis, podany przez obu tych historyków, dziś jeszcze najzupełniej jest prawdziwy. Tysiące rozmaitych płazów wylęgają się w piaskach nad brzegiem rzeki i pustyni otaczającej oazę.

W średnich wiekach Gafsa wielkie posiadała znaczenie, handel zaś jej dochodził aż do Hiszpanji. Po zdobyciu tego miasta przez sułtana El Mansura, uległo ono ostatecznemu zniszczeniu, aby już więcej nie powstać z upadku. Ocalała tylko cytadela, którą widzimy na naszym pierwszym obrazku, od ogólnego spustoszenia i dotąd jeszcze pozostała nietkniętą. Jest to nader ciekawy obraz saraceńskiej fortecy, której bastjony



Ekwipaż tunetański.

i wyzębione mury panują ponad miastem z wysokości 25 metrów. Zawiera ona liczne budynki, ogromne więzienia i dwa meczety, z których większy składa się z 19 naw o pięciu arkadach, z kolumnami i kapitelami starożytnego pochodzenia. Poza obrębem twierdzy istnieją liczne ślady rzymskiego panowania, a piękny łuk triumfalny służy za miejską bramę.

Samo miasto składa się z nędznych lepianek z „tobu“, czyli cegieł z błota, wysuszonych na słońcu. Łatwo się domyślić, że domy te nie posiadają najmniejszej cechy jakiegokolwiek stylu, lub elegancji, co zresztą jest rzeczą bardzo naturalną, gdyż pod łagodnem i zawsze czystem afrykańskiem niebem, dom służy raczej za spichlerz, niż za schronienie dla mieszkańców. Ci ostatni spędzają całe dni

i noce pod gołem niebem na słońcu, lub w cieniu palm i w głębi namiotu. Przeciętna temperatura wynosi tam 30 stopni ciepła.

Również jak mieszkanie zbyteczną jest tam odzież, zredukowana do najbardziej pierwotnych wymagań. Kawał jakiejkolwiek tkaniny wystarcza najzupełniej, służąc stosownie do potrzeby za płaszcz, koszulę, chustkę i t. p., dzieci zaś nawet i bez tego się obywają.

Dzisiejsza ludność miasta Gafsy jest daleko pracowitszą i zapobiegliwszą od koczowników lub wieśniaków. Kobiety wyrabiają burnusy, dywany i prześliczne kołdry, odznaczające się zarówno pięknością deseni i harmonją barw, jak wybornym gatunkiem i trwałością materjału.

Pomiędzy południową częścią miasta a murami twierdzy rozciąga się piękna oaza gafsańska, mająca 6 kilometrów długości. Widziana z góry oaza wygląda, jak wielka czarna plama na tle białych piaszczystych obszarów. Zresztą położenie Gafsy przypomina nieco położenie Damaszku w Palestynie, stanowiąc jakby jego kopję, zdjętą w minjaturze. Jak miasto, tak też i oazę przerzyna mnóstwo strumieni, na rozmaitej leżących wysokości. Stosownie do ich położenia zmienia się też temperatura. Tak naprzykład w Gafsie, zbudowanej na wysokości 345 metrów ponad poziom morza, termometr wskazuje 35 stopni ciepła, a w El Hamma, wzniesionej zaledwie o 40 metrów nad morzem, temperatura źródeł dochodzi do 60 stopni ciepła według Celsiusa.

W gafsańskiej oazie najmniejszy nawet kawałek ziemi zostaje zużytkowany pod uprawę jarzyn, jak np. rzodkwi, marchwi, sałaty i rozmaitych roślin pastewnych, wyższe zaś części gruntu zajmują łany pszenicy i lucerny, gdy tymczasem niższe jaśnieją zielenią palm daktylowych, potrzebujących dużo wilgoci.

Łatwo się domyślić, że europejskie drzewa do nadzwyczajnych dochodzą rozmiarów. Tak naprzykład drzewo morwowe dosięga 12 metrów wysokości, pień zaś jego mierzy 3 metry obwodu.

Na zakończenie dzisiejszej pogadanki podajemy ciekawy zaprzęg tunetański na drugim obrazku. Jest to rodzaj „biedy“ o dwóch kołach, zaprzężonej w muła. Obok tego ekwipażu stoją dwaj młodzieńcy arabscy, a na „wozie“ siedzi misjonarz europejski, który zamierza udać się w dalszą jakąś podróż.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

ROZDZIAŁ XII.

Trudno! Trzeba się pogodzić z losem. Należało puszczać, że skoro „Marzenie“ zatonęło, to brak wiadomości rychło zaniepokoi wuja i Finę, którzy też uczynią wszystko, co w ludzkiej mocy, by dowiedzieć się o losie pasażerów. Czy w tem jednak można pokładać jakąś nadzieję? Czemże są dwaj rozbitki wśród bezmiaru Oceanu? Tysiąckroć łatwiej odszukać szpilkę we furze siana, lub ziarenko piasku na dnie morza! Niestety, majątek wuja Kolderupa na nic się tu nie przyda!

Nic dziwnego, że zajęty temi myślami, Godfrey nie spędził nocy spokojnej w nowem swem domostwie.

Pod naciskiem ciężkiej konieczności, z mózgu jego, zajętego rojeniami i fantazjami, stopniowo wyłaniał się rozum praktyczny, wspierany przez silną wolę. Godfrey postanowił podjąć walkę z losem i uczynić wszystko, co jest w ludzkiej mocy, by wydostać się z ciężkiej sytuacji. Jeśli mu się to uda, to przykra próba zahartuje go na całe dalsze życie!

Wczesnym rankiem zerwał się z swego legowiska i odrazu zaczął obmyślać sposoby uwygodnienia mieszkania. Najważniejszą i najpilniejszą była sprawa zaopatrzenia się w żywność i zdobycie ognia, następnie trzeba będzie znaleźć jakiś sposób zdobycia narzędzi i broni, oraz sporządzenia sobie odzieży, by nie być zmuszonym do naśladowania dzikich, obchodzących się bez garderoby.

Tartelett tymczasem spał jeszcze snem człowieka sprawiedliwego.

Lekkie mgły przysłaniały jeszcze wybrzeże i Ocean, ale od północy i wschodu białawe te opary zaczęły już pierzchać pod wpływem promieni słonecznych. Zapowiadał się dzień prześliczny.

Godfrey odciął gałąź i wystrugał sobie mocny kij. Tak uzbrojony ruszył ku owej nieznanej mu jeszcze części wybrzeża, którego wydłużony cypl tworzył właśnie wyspę Finy. Po godzinnym marszu spożył śniadanie, złożone z kilkunastu dość mizernych mięczaków i maleńkich, ale smacznych ostryg, których było tu w nadmiarze.

Posiliwszy się, Godfrey z laską w ręku skierował się na południowy wschód, wciąż trzymając się prawego brzegu strumienia. Tą drogą musiał dojść do gąszcza drzew, który zauważył dnia poprzedniego, poza zygzakowatą linją krzewów i zarośli.

Dotarłszy do pierwszych krzewów, Godfrey ku niezmiernej radości odkrył dwa rodzaje korzeni jadalnych, z których jedne można spożywać w stanie surowym, drugie natomiast trzeba gotować. Rośliny te stanowią jeden z głównych pokarmów amerykańskich Indjan.

Jeden z krzewów należał do gatunku kama, rosnącej na gruncie jałowym, gdzie nie znajdzie się już żadnej innej roślinności. Z jej cebulowatych korzeni należycie wysuszonych, robi się mąkę klejastą i bardzo pożywną — o ile nie jada się jako kartofli. Należy je jednak piec, czy gotować, gdyż w stanie surowym niepodobna ich spożywać.

Drugi krzew rodzi bulwy podłużne, zwane „jamf“, a jakkolwiek są one mniej pożywne od korzeni kamy, to znów mają tę wyższość, że można je jeść na surowo.

Zadowolony z tego odkrycia, Godfrey odrazu zjadł kilka tych smakowitych bulw, a nie zapominając o Tartelecie, którego pusty żołądek z pewnością już burczał i mruczał, zerwał cały pęk bulw i zawrócił do Wilhelmowego drzewa.

Zbyteczne chyba dodawać, jak radośnie powitał profesor odkrywcę nowej potrawy. W ciągu paru chwil spożył tak pokaźną porcję smacznych bulw, że uczeń był zniewolony odłożyć resztę na później.

Godfrey postanowił teraz zabrać się do urządzenia nowego domostwa.

Tedy zabrali się obaj do usunięcia grubej warstwy pyłu roślinnego, w którym grzęzło się po kolana. Parę godzin ciężkiej pracy, a „salon“ został

oczyszczony gruntownie i tylko w powietrzu unosił się jeszcze obłok żółtego pyłu.

Dzień minął na porządkowaniu domostwa i dopiero o zachodzie słońca skończyli najpilniejsze roboty. Znużeni pracą, do której nie byli przyzwyczajeni, Godfrey i Tartelett ułożyli się z przyjemnością na wiązkach suchej trawy, której nagromadzili sporo w ciągu dnia.

Następne dni upłynęły na różnorodnych zajęciach, związanych z urządzaniem mieszkania i gromadzenia zapasów. Zbieranie jaj i mięczaków, wykopywanie korzeni jamf i zrywanie jabłek manzanilla, wreszcie przeszukiwanie wybrzeża w rannych godzinach, kiedy połów ostryg był najobfitszy, wymagały tyle czasu, że godziny mijały szybko, nie pozostawiając chwil wolnych na rozmyślania.



Ogień! ogień! — wykrzyknął Tartelett.

Naczynia kuchenne przedstwiały się narazie w ten sposób, że kilkanaście dużych muszli służyło za talerze i garnuszki. A wikt, na jakim poprzestawać musieli mieszkańcy domu Wilhelmowego, nie wymagał też innego serwisu...

Do obowiązków Tarteletta należało też pranie bielizny, co uskuteczniał przy strumyku w sposób bardzo sumienny. Ostatecznie nie była to praca zbyt wyczerpująca, gdyż cała garderoba rozbitków składała się z dwóch koszul, dwóch chustek do nosa i dwóch par skarpetek.

Podczas prania obaj mężczyźni nosili tylko spodnie i surduty, co jednak trwało tylko parę godzin, gdyż w słońcu bielizna szybko wysychała. Na takich zajęciach spływał im czas, a pogoda cudna pozwalała przebywać stale na wolnem powietrzu.

Do 3 lipca zagospodarowali się na dobre w swem gościnnem drzewie.

Następną próbę Godfrey urządził z pyłem roślinnym, W nocy z dnia na 4 lipca, po duszących upałach kilkudniowych, zerwała się szalona burza. Wichura wściekła rozszalała się na wyspie, a po północy Tartelett i Godfrey zerwali się równocześnie z posłania, zbudzeni kanonadą grzmotów. Błyskawica po błyskawicy, rozdzierały czarny firmament, a chmury płynęły tak nisko, że należało się lada chwila spodziewać ulewnego deszczu. Godfrey wyszedł z wnętrza drzewa, by rozejrzeć się po niebie.

Nad wyniosłymi wierzchołkami drzew istny pożar! Kontury tych liściastych olbrzymów rysowały się niby chińskie cienie na niebie gorejącem od ustawicznych błyskawic, raz w raz rozdzierających mroki nocy.

Nagle, wśród huku grzmotów, oślepiająca błyskawica przeszyła cały przestwór... Potężny łoskot i oto drzewo Wilhelmowe od korzeni do wierzchołków oblała światłość fluidu elektrycznego...

Smagany strugami deszczu, Godfrey, którego grom powalił był na ziemię, dźwignął się z trudem i spojrzał wokoło. Piorun uderzył w jeden z potężnych konarów i zapalił drobniejsze gałęzie. Niby żagwie płonące, jedna po drugiej spadały na ziemię.

Z okrzykiem: ogień! ogień! Godfrey wyciągnął Tarteletta, który ponownie ułożył się był na sianie.

— Ogień! — wykrzyknął Tartelett, zrywając się na równe nogi. — Bogu dzięki! Bogu dzięki za ten dar łaskawy!

Obaj rzucili się na płonące gałęzie, złożyli je na jeden stos, poczem narzucili mnóstwo drzewa, oddawna nagromadzonego na opał. W chwili, gdy pożar wzniecony w górnych gałęziach drzewa przez piorun, zaczynał już gasnąć, na ziemi zapłonął stos, mający tak bardzo zaważyć na dalszem życiu rozbitków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Syn leśnika.

Poczciwy leśnik Jacenty mieszkał szczęśliwie i spokojnie w starej, po dziadach odziedziczonej chatce, pod ogromnym borem. Za morzem szumiącej puszczy czerniały sine skaliste szczyty gór, a w przeciwnej stronie płonęły w słońcu złotokłose pola i wzgórza. W tej cudnej ustroni samotna chata rozkoszowała się długie wieki radosnym snem ciszy i szczęścia. W rodzinie Jacentego panowała zgoda i pokój Boży — te znamiona cechujące uczciwych ludzi.

Jedyny owoc miłości leśników, Piotruś, okazał się godnym swych rodzicieli. Już jako uczeń wiejskiej szkółki, jaśniał pięknym charakterem, cnotami wsiewanemi ręką macierzyńskiej miłości w dziecięcą jego duszę, która gotowała się dzielnie do boju z wichrami losu.

— — — — — — — — — — — — — —

Cicha, pogodna noc letnia rozpostarła swe tęskliwe skrzydła nad ogromem pól, lasów i zasępionymi czołami gór. Świerszcze polne piały śród traw swe słodkie hymny, a ciszę leśną mącił chwilami urywany trzepot skrzydeł ptaka, szukającego gniazda w gęstwinie rozłożystych konarów odwiecznych dębów i jodeł.

Po odmówieniu wspólnej wieczornej modlitwy, zarzucił leśnik dubeltówkę na ramię i, pożegnawszy się z żoną i synkiem, poszedł w las za głosem swego obowiązku. Wkrótce cichy i błogi sen ukołysał zasłużonym spoczynkiem samotnych — matkę i syna.

— — — — — — — — — — — — — —

Późno w noc zbudził śpiących suchy trzask, idący od okna i w tej chwili przy łóżku matki zabłysło jarzące światło, w blaskach którego zobaczył Piotruś dwóch tajemniczych mężczyzn, z rewolwerami w ręku. Zbóje zażądali wydania pieniędzy pod groźą śmierci. Serce Piotrusia zamarło z trwogi, ale uzbrojony w świadomość i gorącą miłością synowską, padł zbójom do nóg, błagając miłosierdzia dla biednej matki. Został jednak kopnięty z przekleństwem i padł zemdlony. Kiedy oprzytomniał, usłyszał błagalne słowa matki: Dziecko moje kochane,

umieram. Mężu, na Rany Chrystusa, gdzie jesteś — ratuj mnie! O Jezu miłosierny, bądź miłościw, ratuj moje dziecko jedyne i męża!

— Milcz, bo śmierć! — krzyknął wściekły zbój, znęcając się nad bezbronną kobietą — pieniędzy, pieniędzy!

— O Jezus, Marjo! O Rany...! Dziecko! dziecko!

I straszne ostrze siekiery rozpłatało jej głowę.

— — — — — — — — — — — — —

Upłynęło lat kilka. Piotruś nie miał ojca ni matki. Gdzie biedny ojciec? Co stało się z nim po ostatniem pożegnanu fatalnej nocy? Oto pytania, które dręczyły biednego chłopca dniem, nocą. Dobrzy ludzie zastąpili mu częściowo rodziców. Właściciel lasów, których leśniczym był Jacenty, zaopiekował się sierotą i ceniąc zdolności chłopca, utrzymywał go w dalszej nauce. O zaginonym ojcu nie wiedział Piotruś nic, mimo poszukiwań i śledztwa władz.

— — — — — — — — — — — — —

Kiedyś zatęsknił za miejscem, gdzie stała ongi rodzinna jego chata, gdzie tyle miłych wspomnień gnało go najczystszą modlitwą tęsknoty, gdzie jego serce i dusza przylgnęły na wieki. I poszedł...

Wracającego późną porą zaskoczyła w lasach noc. Lecz chłopak zahartowany bolesnemi przeżyciami, nie rozpaczał, ale znalazłszy cichą ustroń w rozpadlinie leśnej, ułożył się na spoczynek, polecając się Bogu i prosząc Go o wieczne spoczywanie dla dusz rodzicielskich.

Nie mógł długo zasnąć — marzył... wspominał...

— — — — — — — — — — — — —

Jakoś posłyszał ciche stąpanie po miękkiej leśnej pościeli. Wytężył wzrok i całą duszę w ciemną noc. Posłyszał jakieś szepty — półgłosy. Zadrżał... Idą zbóje — pomyślał — ale Bóg mnie nie opuści. Chwycił kostur do ręki — i czeka... Opodal nieznajomi usiedli w gęstwinie — a Piotruś posłyszał:

— Pamiętasz, druhu, tę noc?

— Nic nie rozumiem, — odparł głucho towarzysz.

— Leśnik, ha? sześć lat prawie. Tam — o...!

— A... a... Cicho bądź! O tem ani mer... mer...!

— E, co tam, o tem ani djabeł nie wie!

— Te drzewa mają uszy — odrzekł ochrypły głos zbója.

— Ona przepadła... pieniądze nasze... opłaciło się, ha...?

— To przeszło... niech to wszyscy...! A on... on...

— Czy on też tam żyje jeszcze w tych podziemiach?

— Żyje, — odparł drugi — mówił mi Gawron, ciemnica pod wieżą, suchy chleb i woda. — Ale tam na wieki. Te skały są mocne, a mury choć stare, ale silne, djabełby ich nie pogryzł... A dołem woda — nie ucieknie. — Ha! zawadzał nam w lasach — niech ginie...!

— Daj gorzały! Barto, bo mi jęzor usechł — droga daleka.

— Dzierż!

— Niech ci za to djabli ślepia wyłupią — morderco!

— Milcz, żmijo! Chłeptaj siwuchę i połam gnaty!

Odeszli w ciemną dal puszczy jak dwa straszne nocne widma...

— — — — — — — — — — — — —

Dwa tygodnie Piotruś błądził dniem i nocą śród dzikich głuchych skał, okalających lasy. Badał każdą wyrwę, każdy szczyt... Schudł, zmizerniał, tylko jarzące błyski jego źrenic świadczyły o zawziętości i poświęceniu młodzieńca dla jakiejś tajemniczej idei...

Pewnego dnia zapadł w zręby dzikich skał, otoczonych dokoła wyższemi szczytami i na urwistym wierzchołku zobaczył stare, omszone zwaliska dawnego zamku. Wieża napół zwalona, porosła dzikiem winem, sterczała jak pomnik przeszłości nad urwiskiem. U stóp szumiał spieniony górski potok, opływający półkolem wiekowe zwaliska. Wokoło rosły wysokie drzewa i gęste zarośla. Piotruś zmęczony usiadł nad głębią i tknięty dziwnem uczuciem, szeptał:

— Mam! Bóg mnie tu przywiódł... Mam... Tu — albo nigdzie!...

— — — — — — — — — — — — —

Pod osłoną mroków głębokiej nocy płynęło w leśną ciszę głuche kopanie, tłumione potężnym szumem spienionych wód. Dobrotliwe wiekowe dęby, sosny i graby osłaniały koronami swemi tajemniczą robotę. Co noc kilof Piotrusia gryzł, szarpał, mordował i wgryzał się w piekielne twarde skały. Otwór, a raczej tunel, rósł, wydłużał się, biegł coraz głębiej i głębiej... Chłopak się zawziął, postanowił, uparł się — był pewny, że tu, albo nigdzie... Mierzył wzrokiem odległość i symetrję wieży, zapluwał w garście — kopał z całych sił tydzień, dwa, cztery — nocami... Wyłamane skały zabierał litościwie potok — i niósł w dal ciemną — przepaścistą.

— — — — — — — — — — — — —

— Coś jest, — rzekł cicho pewnej nocy, świecąc latarką w ścianę lochu. Widzę kamienie pojedyncze — zapewne to ściany piwnicy... Uderzył kilofem z całej mocy. Coś drży. Próbuje wiercić. Otwór...

— Kto tam? — szepnął z bijącem sercem i czekał jak ostatniego wyroku zbrodniarz, a pot kroplisty zalewał mu czoło. Wtem posłyszał wewnątrz cichy, stłumiony szmer — jakby oddech czyichś płuc.

— Kto tam? — powtórnie zapytał Piotruś — a dusza w nim mdlała.

— Więzień, dobry człowieku! — zabrzmiało wewnątrz lochu, jakby gdzieś w głębi grobowej.

Piotruś wysilił muskuły, zawalił w ścianę, aż kilof trzasnął, ale padła ostatnia zapora... Otwarła się ciemna czeluść, skąd powiał mogilny chłód i zapach wilgoci...

— — — — — — — — — — — — —

Dwaj mężczyźni, wynędzniały i zaledwie żywy ojciec i zmordowany syn, padli sobie w objęcia, zalewając się z radości łzami...

— — — — — — — — — — — — —

W kilka tygodni później zbójcy zawiśli na szubienicy.. *Wojciech Byczek-Breowicz.*



Wieczerza Pańska.

Chrystusie...! gdy schylisz się Panie
Myć nogi
Ty Pan i Nauczyciel uczniom swoim
To wskażesz nam drogi
Mądrości wiecznej...
„Jako Ja czynię, tako i wy czyńcie"
Choć trudna doskonałość ducha
W to Wielkie Polski Wstanie
Zgubnem jest kto Ciebie nie słucha...
I tylko mocy jasne pozostaną drogi
W to Wielkie Polski Wstanie
Gdy jedni drugim będą myli nogi...

Furmanikowa Eleonora.

Leniuszek i wiosna.



Nietylko kalendarzowa, ale i rzeczywista wiosna już się zaczęła. Wprawdzie jeszcze czasem ziąb niemiłosierny chwyci, jeszcze czasem mróz w nos i uszy poszczypie, ale mimo to słoneczne promienie powiadają nam już od wczesnych godzin dnia aż do wieczora, że zima minęła bezpowrotnie, że coraz bliżej do zieleni, kwiatów i rozkoszy życia przebudzonego z długiego uśpienia.

Wiosna, wiosna idzie, a z nią nowe życie, nowe rozkosze, nowe czyny. Świat zapomina o tem, co było, co minęło, a cieszy się tem, co tak rozkosznie po nim się rozlewa, co budzi nowe nadzieje, co napawa serca otuchą na lepszą i jaśniejszą przyszłość.

Wiosną cieszą się i starzy i młodzi, a szczególniej ci ostatni. Rozbiega się rozanielona dziatwa po zielonych łąkach, po rozbrzmiewających szczebiotem ptasim gaikach, po polach okrywających się zieloną runią zbóż, traw i kwiatów, a szczebiot tej dziatwy łączy się z szczebiotem igrających w promieniach słońca ptasząt, a wszystko to oznajmia całemu światu, że idzie nowe życie, że budzi się świat z uśpienia, że rozpoczyna się nowy okres życia ludzkiego.

Ale są istoty, które nie odczuwają całej piękności budzącej się do życia wiosny. Oto na naszym obrazku widzimy takiego młodego malkotenta, którego nie cieszy nadchodząca wiosna. Jakby starzec, znudzony życiem, usiadł na ławce ogrodowej, podparł głowę dłonią, odrzucił kapelusz na ziemię i duma nad czemś w zamyśleniu. Nie obchodzi go piękno budzącej się do życia przyrody; przetrawia on w sobie jakieś niewydobyte na świat myśli, których w przyszłości wyrodzić się może albo zbrodnia, albo czyn niepospolity. Zależy to od tego, na jakie tory skieruje społeczeństwo młodocianego melancholika.

Jak są na świecie siedmdziesięcioletni młodzieńcy, tak są na nim i dziesięcioletni starcy.

Poradnik gospodarczy.

Uprawa kwiatów cebulkowych.

Jak to ładnie, gdy koło naszych domów zamiast pokrzyw i chwastów rosną barwne i woniejące kwiaty. Toteż nasze dziewuszki i mężatki corocznie na wiosnę sieją lub sadzą w ogródkach kwiatki, aby mieć latem, przyjemny widok przed oknami. Ale gdy kwiaty wyrosłe z nasienia wygląda jeszcze jako tako, gdy się je plewi i podlewa, to kwiaty z cebul i kłączy nie są takie, jakie być powinny. Wina tu oczywiście nieumiejętnego sadzenia. Niektóre rośliny cebulkowe i wyrastające z kłącza są tak wrażliwe na niewłaściwe, mianowicie za głębokie lub płytkie sadzenie, że w danym roku kwitną słabo lub nie kwitną wcale.

Charakterystycznemi roślinami, które nieodpowiedniego dla siebie sadzenia nie znoszą zupełnie, są tulipany i krokusy. Tulipan, posadzony za płytko, np. na powierzchni ziemi, wydaje maczugowato wydłużone cebulki, idące w głąb ziemi i które dopiero, dosięgnąwszy odpowiedniej głębokości, staną się cebulkami normalnemi, by zakwitnąć na przyszły rok.

Krokus tworzy w takim wypadku wyrostki, również w głąb się zapuszczające. Obserwując krokusy, pędzone w doniczkach i sadzone w tym celu po kilka do jednej doniczki, widzieć można niejednokrotnie, że te sztuki, które przez nieuwagę sadzącego znalazły się na powierzchni ziemi, nie kwitną wcale i nawet ulistnienie mają słabe. Wynika to z tego, że całą swą siłę życiową skierowują do tworzenia wyrostków, zapomocą których starają się zagłębić w ziemię, stosownie do swych wymagań.

Podobne działanie, choć w odwrotnym kierunku, odbywa się wówczas, gdy roślina posadzona została za głęboko, lub gdy po posadzeniu wypadkowo warstwa ziemi nad cebulkami pogrubiła się znacznie przez namulenie. Wówczas cebulki tulipanów kwitnąć nie mogą, ale wydają wyrostki, skierowane ku górze, w które przenosi się materjał zapasowy roślin i z których wytwarzają się cebulki nowe. Wyrostki są tak długie, jak potrzeba, żeby nowe cebulki znalazły się pod powierzchnią ziemi w takiej głębokości, jaka odpowiada naturze rośliny.

Takiego samego rodzaju objawy obserwować można przy znanem podnoszeniu się szparagów za głęboko posadzonych. Dawniej z zasady szparagi sadzono w głęboko kopane doły w przekonaniu, że rośliny tego wymagają i że to przyczynia się do otrzymywania dłuższych okazów. Jest to mylne zapatrywanie; za głębokie sadzenie jest przeciwne naturze szparaga; normalnie bowiem rośnie szparag zupełnie płytko, toteż kłącz rośliny za głęboko posadzony, czy — co na jedno wychodzi — w jakiś czas po posadzeniu grubo ziemią przysypany, usiłuje bliżej wydostać się ku powierzchni przez tworzenie nowych części kłącza coraz wyżej, a zamieranie dolnych. Szparagi, przysypane choć tylko 30

cm. warstwą ziemi, znajdują się po kilku latach — jeżeli się im ciągle warstwy nie pogrubiało — tuż pod powierzchnią ziemi.

U szparagów, sadzonych płytko, żadnego podnoszenia zauważyć się nie da, natomiast tutaj szparagi rozrastają się na szerokość w rozmaitych kierunkach. Naturalnie, że siła wegetacyjna szparaga cierpi bardzo na nienormalnem, więc za głębokiem sadzeniu cebulki. Dowodem tego wysiłki, jakie czyni sama roślina, by przenieść swój kłącz czy cebulkę w odpowiednie dla siebie miejsce.

W interesie zatem sadzących i hodowców jest sadzić odpowiednio, a przez to uniknąć zmuszenia roślin do szukania sobie położenia normalnego, do daremnej pracy, co odbija się — rozumie się — ujemnie na kwitnieniu i na sile samychże roślin.

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli" dołączamy czeki wszystkim kwartalnym naszym Prenumeratorom.

Spis ludności. Na posiedzeniu Rady ministrów uchwalono projekt noweli do ustawy o organizacji statystyki administracyjnej państwa. W myśl tej uchwały przeprowadzony będzie w dniu 9 grudnia b. r. II. powszechny spis ludności. Spis ten miał być przeprowadzony w roku ubiegłym, musiał jednak ulec odroczeniu ze względu na to, że sejm nie uchwalił w budżecie na rok 1930 31 odpowiednich kredytów. Przeprowadzenie spisu w roku bieżącym motywowane jest koniecznością uzupełnienia wielu braków w dziedzinie najnowszych i dokładnych danych o stosunkach ludnościowych, zawodowych, narodowościowych, majątkowych i t. d. Braki te dają się bowiem coraz dotkliwiej odczuwać w gospodarce państwowej. Pierwszy powszechny spis ludności w Polsce odbył się w roku 1921. Jest on już obecnie bardzo przestarzały, nie obejmuje bowiem terytorjum Górnego Śląska i trzech powiatów Wileńszczyzny, które wówczas stanowiły terytorjum t. zw. Litwy środkowej. Uchwała Rady ministrów w sprawie przeprowadzenia spisu ludności będzie złożona sejmowi do aprobaty. Na wydatki, związane ze spisem ludności przewidziano w budżecie na rok 1931/32 kwotę 4 miljonów zł. Opracowanie wyników spisu potrwa conajmniej dwa lata.

Zjednoczenie stronnictw ludowych. Jak to już poprzednio zapowiadano, nastąpiło zjednoczenie stronnictw ludowych na zjeździe wspólnym Rad naczelnych „Piasta", „Wyzwolenia" i „Stronnictwa chłopskiego" w Warszawie. Przewodniczącym obrad wybrano posła Witosa. Program nowego stronnictwa referował pos. Kiernik, a statut organizacyjny poseł Wrona. Wszystkie kwestje rozstrzygano jednomyślnie, bez poprawek. Głosowano natomiast nad nazwą przyszłego stronnictwa. 103-ma głosami przeciwko 65 przyjęto nazwę „Stronnictwo Ludowe". Kontrpropozycja wysunęła nazwę „Stronnictwo chłopskie". Postanowiono zwołać kongres, którego przewodniczącym wybrano posła Malinowskiego, a zastępcami b. posła Maja i Walerona. Rada naczelna składać się będzie z 150 osób z prezesem pos. Witosem i zastępcami pos. Taborem i sen. Woźnickim. W skład jej wchodzić będą również posłowie i senatorowie, tak, że Rada naczelna składać się będzie z 204 osób. Do Komitetu wykonawczego wejdą po cztery osoby z każdego dotychczasowego stronnictwa, a mianowicie Kiernik Rataj, Gruszka i Michałkiewicz z „Piasta", Bagiński, Putek, Smoła i Woźnicki z „Wyzwolenia", Czernecki, Waleron, Wrona i Zaleski ze „Stronnictwa chłopskiego". Nadto do komitetu wykonawczego wejdzie prezydjum Klubu parlamentarnego oraz 6 członków-zastępców. Ponadto wybrano komisję kontrolującą i sąd partyjny. Przyjęto jedną rezulucję polityczną, stwierdzającą zjednoczenie stronnictw. Strona polityczna będzie przedstawiona w manifeście, który niezadługo zostanie ogłoszony.

Katowanie dzieci szkolnych. Pod takim tytułem lub jemu podobnemi, zamieściły gazety opozycyjne, jak „Naprzód", „Głos Narodu", „Robotnik", „Gazeta Warszawska" i inne, jakoby nauczyciel szkoły powszechnej w Zalesiu na Pomorzu p. Frąckowski bił dzieci po twarzy za to, że nie chciały kupować kartek imieninowych z życzeniami dla Marszałka Piłsudskiego. Na tej podstawie posłowie opozycyjni narobili w Sejmie hałasu, wnieśli odpowiednią interpelację, w której zażądali surowego ukarania owego nauczyciela. Krakowski „Naprzód" poszedł jeszcze dalej, bo w artykule wstępnym pod tyt. „Września, Brześć, Madera„ obryzgał błotem całe nauczycielstwo polskie, porównując je z katami dzieci polskich we Wrześni, którzy za odmawianie pacierza w języku polskim bili do krwi niewinne maleństwa. Wskutek interpelacji poselskiej ministerstwo oświaty w Warszawie wysłało do Zalesia specjalną komisję celem zbadania, ile jest prawdy w doniesieniach gazeciarskich, względnie w interpelacji poselskiej. I cóż się okazało? Oto rzeczywiście p. Frąckowski rozdał kartki imieninowe dzieciom z tem, że które chce, może taką kartkę z życzeniami wysłać na Maderę do Marszałka Piłsudskiego, które zaś nie chce, to może jej nie wysyłać. Od żadnego z dzieci pieniędzy za taką kartkę nie żądał. Pomiędzy innemi dziećmi otrzymał taką kartkę również synek Antoniego Hinzego, osadnika niemieckiego w Zalesiu. Niemiaszek, jako wróg Polski, zmyślił sobie bajeczkę o biciu i roztrąbił po całym świecie. Oczywiście za czyn swój odpokutuje teraz w kryminale. Zdawałoby się, że powinni ową zbrodnię oszczerstwa odpokutować i owi gazeciarze, którzy to oszczerstwo podnieśli do niebywałych rozmiarów, jak i posłowie, którzy je wyzyskali do swych politycznych celów. Ale cóż, posłowie są nietykalni, a gdyby nawet, to oni w interpelacji zapytywali ostrożnie: „Czy prawdą jest..." i t. d. Owych niesumiennych gazeciarzy musiałby p. Frąckowski skarżyć oddzielnie do sądu i tam zapewne znalazłby sprawiedliwość, ale czy biedny nauczyciel ma na to czas i pieniądze. Zwykła uczciwość panów redaktorów nakazywałaby im, aby bez nacisku oszczerstwo to odwołali, ale czyż zdołaliby oni nawet odwołać wszystkie oszczerstwa, jakie codzień na niewinnych ludzi rzucają Tak tedy oszczerstwo rozeszło się szeroko po świecie, o rzeczywistej prawdzie mało kto będzie wiedział. Oto skutki rozpolitykowania społeczeństwa.

Ujęcie herszta włamywaczy. Od dłuższego czasu teren województwa krakowskiego był niepokojony przez włamywaczy, którzy dokonali szeregu włamań do rozmaitych instytucyj. Dzięki wytężonej pracy wojewódzkiego urzędu śledczego udało się ostatnio ująć w Bagnie ad Jadowniki członka bandy Wincentego Koptę wraz z jego kochanką Józefą Rymarczyk. Przy sposobności aresztowania, które nastąpiło w kryjówce bandyty, odebrano część łupu. Dalsze dochodzenia doprowadziły do ujęcia herszta szajki Józefa Kamyczka, niebezpiecznego włamywacza i bandyty, karanego już wielokrotnie za szereg zbrodni. Aresztowanie nastąpiło w kryjówce bandyty w Bierzanowie. Dzięki energicznej postawie organów P. P. udało się ubezwładnić bandytę i przeszkodzić mu w użyciu posiadanej przez niego broni palnej.

Pożar plebanji w Wojakowej. W Wojakowej, pow. Brzesko, na plebanji, skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z ogniem wybuchł pożar, który zniszczył budynki gospodarcze, zapasy paszy, maszyny oraz narzędzia rolnicze. Pastwą pożaru padło także 10 krów i 4 konie. Szkodę oceniają na 10.000 zł.

Aresztowanie szajki złodziei kolejowych. W pociągach osobowych na linjach komunikacyjnych w Małopolsce grasowała w ostatnich czasach nieuchwytna szajka złodziei kolejowych, którzy dokonywali licznych kradzieży. Onegdaj aresztowano trzy osoby, podejrzane o te kradzieże. Na czele szajki stała 14-letnia Rózia Weintraub. Całą trójkę odstawiono do aresztu.

Tragiczna śmierć zabłąkanego wieśniaka. W krzakach nad Młynówką Słobódką, pow. Kopyczyńce, znaleziono zwłoki Bazylego Strusa z Suchodolu, który jadąc dwa dni przedtem z Wasylkowa do Suchodołu, zbłądził i wjechał z końmi w kraki, gdzie z wyczerpania i zimna zmarł. Obok zwłok znaleziono w gęstwinie krzaków konie bez wozu, które, żywiąc się suchą trawą i korą drzew, utrzymały się przy życiu. O tym wstrząsającym wypadku tragicznej śmierci nieszczęśliwego człowieka zawiadomiono władze sądowe.

Żywcem spalona. Ita Kern, 66 letnia staruszka, zamieszkała przy ul. Czarneckiego w Przemyślu, naprawiając sznurówkę, zaopatrzoną w kauczukową stalkę, w pobliżu pieca, spowodowała zapalenie się kauczuku, a następnie odzieży na niej. Przybiegły na ratunek mąż jej Joel nie zdołał ugasić płomieni i sam się silnie poparzył. Ita Kern zmarła w dwie godziny po wypadku, poparzonego męża odwieziony do szpitala.

Oszukańcza afera emigracyjna. Z Czortkowa donoszą, że policja tamtejsza wpadła na trop oszukańczej afery emigracyjnej, której nici prowadzą do Gdańska. Jeden z oszustów uprawiał już oddawna nielegalne wysyłki osób, rekrutujących się przeważnie z okolicznego włościaństwa, przedstawiając im wspaniałe szanse zarobkowe w Kanadzie i Ameryce Południowej. Przy tej sposobności oszust wyłudzał od naiwnych po 500 zł. za wyjazd. W związku z tą aferą aresztowano między innymi wójta jednej z okolicznych wsi oraz sekretarza gminnego. Szajka dysponowała również fałszywemi paszportami, w które zaopatrywano nieświadomych podstępu emigrantów.

Zamordowanie siostry i szwagra. Do mieszkania swego szwagra Opalińskiego, zamieszkałego w Kiełkowicach, powiatu olkuskiego, przybył Piotr Januszek i wszczął z Opalińskim sprzeczkę w sprawie wprowadzenia się do jego mieszkania. Gdy Opaliński nie zgodził się na wspólne zamieszkanie z Januszkiem, ten ostatni wydobył rewolwer i strzelił do Opalińskiego dwukrotnie, kładąc go trupem na miejscu. W tym czasie wybiegła z mieszkania żona Opalińskiego, do której również Januszek dał dwa strzały, zabijając ją. Po dokonaniu zbrodni Januszek zgłosił się do urzędu policyjnego, gdzie oddał broń i zameldował o całem zajściu.

500 oskarżonych — tysiąc świadków. Z Łodzi donoszą: Zakończone zostały ostateczne dochodzenia przeciw członkom kongresu PPS. lewicy, aresztowanym w swoim czasie w Łodzi. Akt oskarżenia obejmuje 500 stron pisma maszynowego. Dotychczas pozostaje w więzieniu 132 uczestników kongresu, resztę wypuszczono za kaucją, lecz wszyscy oni pozostają pod nadzorem policyjnym. Wobec tego, iż okazało się niemożliwem odbycie tak olbrzymiego procesu w Łodzi, gdyż na ławie oskarżonych zasiądzie przeszło 500 osób i do procesu stanie przeszło 1.000 świadków, rozprawa zorganizowana będzie w ten sposób, że odbędzie się ona nie w całości w Łodzi.

Młodociani rabusie. Z Łodzi donoszą: W ostatnich dniach śledztwo ustaliło, że jakichś dwóch osobników planuje napad rabunkowy na listonosza pieniężnego. W związku z tem dwóch funkcjonarjuszy urzędu śledczego zaopiekowało się zdaleka listonoszem pieniężnym Michalskim. Koło godz. 10 rano, gdy Michalski wchodził do jednej z firm przy ul. Piotrowskiej z za węgła muru wystąpiło dwu napastników, uzbrojonych jeden w rewolwer a drugi w młotek i usiłowali listonoszowi odebrać torbę z pieniądzmi. W tym momencie zjawili się wywiadowcy i napastników obezwładnili. Michalski miał przy sobie około 17.000 zł. Przeprowadzone dochodzenia ustaliły, że napastnikami są dwaj abiturjenci miejscowej szkoły handlowej, 18 letni Zygmunt Gwizdał i 19-letni Henryk Lutosławski. Zeznali oni, że napad planowali już od dłuższego czasu, przyczem zaznaczyli, że rewolwer użyty miał być tylko w ostateczności.

Niebezpieczny ptaszek. W ręce policji łódzkiej wpadł niezwykły oszust, nazwiskiem Kaczorowski, który od dłuższego czasu grasował po całej Polsce, legitymując się fałszywemi paszportami. We Lwowie występował on jako Dr. Stanisław Biernacki, w Krakowie jako Antoni Pawłowski, w Wilnie jako adwokat Stefan Malistowski, w Łucku zaś jako dyrektor banku Waldemar Walicki. Kaczorowski człowiek żonaty, zamieszkały stale w Łodzi, bawiąc ostatnio w Zakopanem, poznał tam córkę obywatela ziemskiego Broińskiego, Wiesławę. Oszust tak potrafił omotać dziewczynę, że po krótkiej znajomości zaręczyła się z nim. Broiński wręczył przyszłemu zięciowi 5.000 dolarów na urządzenie mieszkania. Kaczorowski, otrzymawszy pieniądze przepadł. Broiński przyjechał do Łodzi, odszukał oszusta i wydał go w ręce policji. Przy tej sposobności wyszło na jaw, że Kaczorowski sfałszował i puścił w obieg weksle na sumę przeszło 150.000 złotych.

Samobójstwo przy płonących gromnicach. W domu urzędnika pocztowego Ludwika Sułkowskiego w Łodzi rozegrała się wstrząsająca tragedja. Teściowa Sułkowskiego, która mieszkała razem z nim, od dłuższego czasu była chora umysłowo i przebywała nawet z tego powodu przez pewien czas w szpitalu. W ostatnich dwóch tygodniach żona Sułkowskiego, Aniela, zaczęła również zdradzać objawy manji prześladowczej. Twierdziła ona, iż na życie jej czyhają jacyś zbrodniarze Onegdaj popołudniu, gdy obie kobiety zostały same w domu, żona Sułkowskiego postawiła na stole trzy płonące gromnice, obok nich położyła welon z krepy i ustawiła święte obrazy, następnie ubrała się w nową, przed kilku dniami sprawioną czarną suknię i najładniejsze pantofle, poczem pożegnała się z matką, oświadczając, iż odbiera sobie życie. W tym odświętnym stroju położyła się na kanapie i wypiła wielką dozę jakiegoś trującego płynu. Matka jej uklękła przy kanapie i zaczęła się modlić. Gdy po upływie godziny przyszedł Sułkowski, zastał żonę już nieżywą, a teściową ciąg lejeszcze klęczącą i modlącą się przy zwłokach.

Aresztowanie szajki bandytów. W majątku Nowosiółka na Wołyniu szajka bandytów dokonała szeregu napadów bandyckich i rabunków. Ludność urządziła obławę i osaczyła bandę w lesie Na widok obławy bandyci zasypali włościan strzałami, poczem rozbiegli się. Dwu z nich zdołano ująć i osadzono ich w więzieniu. Milczą oni uporczywie i nie zdołano dotąd stwierdzić ani ich tożsamości, ani nazwisk towarzyszy.

Nieudała ucieczka więźniów. W Krzemieńcu w więzieniu 6 więźniów wybiło otwór w ścianie na korytarz i wydostali się z celi z zamiarem ucieczki. Straż więzienna spotrzegła zbiegów i wszystkich zdołała po krótkim oporze osadzić w innej celi.

Napad bandycki na dwór. Na odcinku granicznym Obolewicze na dwór w Mierniczówce napadło kilku zamaskowanych bandytów. Właściciel począł strzelać, wobec czego bandyci poczęli się wycofywać ku granicy. Patrol K.O.P. zarządził pościg i w czasie strzelaniny jednego z napastników zabito, a drugiego ujęto, reszta zdołała przejść granicę.

Samobójstwo dwóch braci. Z Wilna donoszą: Na strychn jednego z domów w Podbrzeziu znaleziono wiszące zwłoki dwóch braci Jana i Aleksaudra Kozłowskich. Powstało podejrzenie, że padli oni ofiarą przestępstwa. Podejrzenie to jednak wkrótce zostało rozwiane, gdyż dochodzenie niezbicie ustaliło, że Kozłowscy popełnili samobójstwo. Powodem samobójstwa było to, że młodszy brat Aleksander począł ostatniemi czasy przepijać wszystkie zarobki, gdy mu starszy brat z tego powodu czynił wymówki, grożąc, że będzie zmuszony wydalić go z domu, Aleksander tak się tem przejął, iż powiesił się. Zaniepokojony dłuższą nieobecnością brata, Jan zaczął go poszukiwać, a gdy go znalazl wiszącego na strychu, czyniąc samego siebie odpowiedzialnym za śmierć brata, również się powiesił.

Trzynasty mąż stuletniej staruszki. W Jassach, w Rumunji, zmarła przed kilku dniami stuletnia wieśniaczka Pepesco, która w roku zeszłym zawarła poraz 13 ty związek małżeński z 45 letnim wieśniakiem, który spodziewał się odziedziczyć po leciwej żonie znaczny majątek, lecz pech chciał, że biedak utonął podczas kąpieli, zostawiając przy życiu leciwą żonę Staruszka pozostawiła 20 dzieci po wszystkich poprzednich mężach oraz 42 wnuków.



Na naszym obrazku widzimy tę stuletnią staruszkę z jej liczną rodziną.

Podwójne morderstwo na leśniczówce. W samotnym domu leśniczego w pobliżu Podebradu (Czechy) dokonano onegdaj strasznego podwójnego morderstwa. Żandarmerja znalazła w leśniczówce zwłoki 68-letniego leśniczego Henryka Kreislera i 58 letniej jego żony z roztrzaskanemi czaszkami. Wdrożone natychmiast śledztwo doprowadziło do wykrycia mordercy. Jest nim 19 letni pomocnik rzeźnicki Mateja, którego aresztowano w jednym z nocnych lokali tanecznych w Pradze. Po dłuższem wahaniu Mateja złożył obszerne zeznanie. Chciał odkupić od leśniczego strzelbę. Gdy ten nie chciał mu jej sprzedać, postanowił zgładzić go i jego żonę. Późną nocą zapukał do drzwi leśniczówki, a gdy żona leśniczego otworzyła mu z rewolwerem w ręce, Mateja rzucił się na nią i rozpłatał jej głowę siekierą. Świadkiem ohydnego mordu był leśniczy, który leżał chory w łóżku. Mateja, chcąc usunąć świadka morderstwa, zabił również leśniczego, rozpłatawszy mu głowę uderzeniami siekiery. Potem udał się do Pragi i zabawiał się w jednym z lokali tanecznych.

Wielka katastrofa okrętowa. Z St. Johns na Nowej Funlandji donoszą o wielkiej katastrofie okrętowej, jaka się wydarzyła w pobliżu wyspy More Island, leżącej u północno-wschodniego wybrzeża Nowej Funlandji. Na pokładzie statku myśliwskiego „Wiking", wynajętego przez pewne amerykańskie towarzystwe filmowe, celem dokonania zdjęć z polowań na foki, potrzebnych do filmu p. t. „Biały grzmot" wydarzył się gwałtowny wybuch, a następnie statek stanął w płomieniach. Na pokładzie statku znajdowało się 138 osób załogi, 6 operatorów filmowych oraz dyrektor towarzystwa filmowego Warick Frissell. Podczas wybuchu zabitych zostało około 20 osób, kilkadziesiąt osób odniosło ciężkie rany, a reszta usiłowała się ratować na krze. Przeskakując z kry na krę lub przebywając większe odległości wpław, część załogi wyratowała się na wyspę More Island. Druga grupa załogi przebywa na krze, unoszonej przez prąd na pełne morze. „Wiking" tymczasem spłonął doszczętnie. Z St. Johns wyjechały na ratunek dwa statki holownicze. Wedle późniejszych wiadomości na brzeg wydostało się 60 osób. Są oni do tego stopnia wyczerpani, że niepodobna od nich wydobyć żadnych bliższych szczegółów. Wybuch nastąpił z powodu nieostrożnego obchodzenia się z ogniem podczas przeładowywania materjałów wybuchowych.

Pomysłowa narzeczona. Amerykańscy królowie pasty do butów lub guzików nie znoszą mezaljansów rodzinnych podobnie jak prawdziwi królowie. Często więc słychać, iż ten lub ów miljoner wydziedziczył swego syna z powodu małżeństwa z biedną dziewczyną. W takiej sytuacji znalazł się syn jednego z chicagowskich krezusów. Zakochał się on w córce robotnika, pracującego w fabryce jego ojca. Gdy jednak wyznał rodzicom swą miłość, zagrozili mu, iż wrazie małżeństwa zupełnie go wydziedziczą. Ogromnie zmartwiony opowiedział narzeczonej treść rozmowy z ojcem. Dziewczyna pocieszyła go gorącym pocałunkiem i oświadczyła, że sama sprawę załatwi. Natychmiast udała się do swego niedoszłego teścia i oświadczyła, że zwolni jego syna od słowa, jeżeli otrzyma 100 tysięcy dolarów odszkodowania. Jakkolwiek żądanie było bardzo wygórowane, miljoner wypisał czek na żądaną sumę. Upłynęły trzy miesiące, a syn oznajmił rodzicom, iż zakochał się i pragnie się ożenić. Określił swą narzeczoną jako miłą, piękną, inteligentną i posiadającą 100 tysięcy dolarów posagu i zyskał na to małżeństwo aprobatę ojca. Jakież było zdziwienie miljonera, gdy stanęła przed nim narzeczona i gdy w niej poznał ową biedną córkę robotnika. Ponieważ jednak panienka była rzeczywiście ładna, a jak się sam na sobie przekonał, nadzwyczaj sprytna, przeto nietylko synowi, ale spodobała się i ojcu. Otrzymawszy do tego owe 100 tysięcy dolarów, była nawet względnie zamożną partją. Teraz już za zgodą ojca odbył się ślub młodej pary, który zgromadził tłumy ciekawej publiczności.

Nowa straszna trucizna. Z Kapsztadtu donoszą, iż jednemu z tamtejszych lekarzy udało się odkryć nową truciznę pochodzenia roślinnego, której działanie jest 5 000 razy większe, niż strychniny. Lekarz nazwał tę truciznę adenia. Znajduje się ona w cebuli pewnej rośliny, która rośnie w Transwalu. Na ślad tej trucizny lekarz wpadł, zauważywszy masowe wypadki tajemniczej choroby wśród robotników, którzy spożywali cebulę, aby ugasić pragnienie. Ekstrakt tej rośliny przedstawia truciznę o niezwykłej sile, której minimalna dawka wystarcza na zabicie 10 tysięcy ludzi.

Zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

RZECZY CIEKAWE.

Szkoła dla słoni.

Jednym z wielkich sprzymierzeńców, przyjaciół i pomocników rządu angielskiego w kolonjach afrykańskich, czy indyjskich jest słoń. Olbrzymi ten kolos, obdarzony potworną siłą i łagodnością dziecka, o ile łagodności tej się nie nadużywa, jest znakomitym, rozumnym, niestrajkującym i nieprzestrzegającym ośmiogodzinnego dnia pracy robotnikiem, wykonywującym w dodatku powierzone mu czynności z precyzyjną dokładnością. Dlatego też rząd angielski, współpracujący ze słoniami, stara się bardzo o pozyskanie tych przemiłych i pożytecznych zwierząt, i przygotowuje je do pracy w specjalnych szkołach, w których ze zwierzętami obchodzi się z tą samą łagodnością i kulturą, z jaką odnosi się wzorowy pedagog do dzieci.

Jedna z najsłynniejszych szkół angielskich dla słoni znajduje się w Kongo. Obecnie szkoła ta posiada 50-ciu czworonogich i długonosych uczniów, liczących od 8-miu do 10-ciu lat. Szkoła składa się z olbrzymiej szopy, w której odbywają się wykłady.

Jeden z podróżników w ten sposób opisuje lekcję: Młody słoń stoi na środku szopy, przywiązany za nogi do czterech pali. Jego uszy, trąba i humorystycznie mały ogonek, zdradzają wyraźne zdenerwowanie. Pupila otaczają krajowcy, śpiewając monotonne pieśni murzyńskie i wymachując olbrzymiemi palmowemi liśćmi. Jest to metoda zaznajamiania słonia, jako zwierzęcia bardzo muzykalnego z melodją i rytmem. Rzeczywiście po kilkunastu minutach tego rodzaju lekcji, słoniątko uspakaja się, przestaje być zdenerwowane, wreszcie zaczyna poruszać rytmicznie w takt śpiewanej pieśni trąbą i w końcu usypia. Po kilku lekcjach słoń już ma doskonale przyswojone poczucie taktu i rytmu.

Zkolei słoniątko zaczyna uczyć się ruchów, nauka polega na tem, że słoń musi zwrócić się w tę stronę, którego ucha dotyka jego przewodnik. Jeśli ręka przewodnika spocznie na czaszce słonia, wtedy chwyta on trąbą leżący przed nim przedmiot, względnie zrywa owoce, czy też ołamuje gałęzie z drzew.

Kiedy słoń ukończy lat 20, jest wtedy zdolny do ciężkiej pracy. Praca ta polega na przewożeniu ciężko ładownych wozów, specjalnie skonstruowanych dla słoni na przenoszeniu głazów, lub olbrzymich kłód drzewa. Zaznaczyć należy, że w kolonjach słonie używane są zasadniczo również i do zaprzęgów artyleryjskich.

Po skończonym dniu pracy, słonie codziennie prowadzone są do rzek, względnie jezior, gdzie z rozkoszą oddają się długogodzinnej kąpieli.

Współpraca człowieka ze słoniem jest idealna i harmonijna, tak długo, jak długo zachowane jest pojęcie sprawiedliwości. Skrzywdzony, czy też rozwścieczony złem obchodzeniem słoń, sta e się straszny i wtedy biada temu, kto się dost...ie w jego trąbę.

Obyczaje ślubne Papuasów.

Obyczaje mieszkańców holenderskiej Nowej Gwinei przedstawiają wiele ciekawego materjału dla podróżników i uczonych. Najciekawsze są naturalnie te zwyczaje, które dotyczą małżeństwa i stosunków rodzinnych.

Papuasi z okręgu Sentani uprawiają dotychczas wielożeństwo, w praktyce jednak tylko wodzowie plemion posiadają po kilkanaście żon, każdą w innej wiosce. Jest to więc jednocześnie harem i... korpus dyplomatyczny.

Z uroczystością ślubu związane są oryginalne obyczaje. Młodzieniec nie może zabrać sobie młodej dziewczyny do domu, dopóki nie zawiadomi o swoim zamiarze wodza plemienia w danej wiosce. Cena, jaką należy uiścić za pannę młodą, podlega długim targom. Zazwyczaj wypłata następuje w dwóch ratach. Pierwsza rata oznacza, że zaczęto o „transakcji" myśleć na serjo, podczas gdy druga rata następuje o wiele później, gdy młodzieniec przeszedł już czas próby. Jeżeli perły, składające się na pierwszą ratę, nie zostały odesłane przez rodziców narzeczonej oznacza to, że młodzieniec jest mile widziany.

Teraz następuje drugi okres narzeczeństwa. Młodzieniec otrzymuje od rodziców narzeczonej cały szereg podarunków, jak owoce, sago, wieprzowinę, ale młodzi nie mogą się porozumiewać z sobą przez ten okres. Młodzieniec nie powinien również bywać we wsi, w której mieszka jego narzeczona. Gdy młodzieniec otrzyma zawiadomienie, że okres narzeczeństwa skończył się, musi złożyć drugą ratę okupu, również w postaci pereł. Składają się na nią zazwyczaj stare perły.

Wszyscy z pośród mieszkańców tylko marzą o tem, by posiadać jak największą ilość starych, pięknych pereł. Od posiadania pewnej ilości takich pereł zależy autorytet wodza Papuasów.

Perły narzeczeńskie otrzymują przedewszystkiem bracia panny młodej, potem jej rodzice, wreszcie bracia jej ojca.

Koledzy pana młodego udają się w uroczystej procesji do wsi panny młodej, by wręczyć jej rodzinie perły. Perły podlegają długim oględzinom i szacowaniu. Zdarza się często, że kilka pereł rodzina odrzuca jako mniej wartościowe i żąda wzamian ładniejszych. Jeżeli nastąpiła zgoda, to bracia panny młodej prowadzą ją do wsi pana młodego i oddają mu ją za żonę. Ale i tu jeszcze ceremonjał nakazuje, by młodzi przez pewien czas omijali się wzajemnie, jakby nie wiedząc o sobie. Dopiero po kilku tygodniach takiego pożycia następuje ślub.

Małżeństwo uznane jest przez społeczeństwo Papuasów dopiero wtedy, gdy przyjdzie na świat dziecko. Wtedy dopiero młoda para uważana jest za małżeństwo. Dopóki niema dziecka, nikt ich nie uważa za małżeństwo.

Kto wynalazł grę w domino?

Niewinną i dobrą grę w domino wymyślili ludzie, którym się nudziło i którzy szukali sposobów dla zabicia tej nudy. W starych kronikach zakonu Benedyktynów znajduje się ciekawy opis, z którego wynika, że wynalazcą domina był pewien zakonnik, zamieszkały w słynnym benedyktyńskim klasztorze Monte Cassino. Z powodu choroby zmuszony on był przebywać dłuższy czas w swej celi. W chwilach wolnych od modlitwy i umysłowej pracy, cichy sługa Boży, obmyślił sobie grę, polegającą na układaniu kwadratów wykłutych w kamieniu. Na każdym kwadracie wyryte były czarne punkty.

Wśród braci zakonnych nowa gra znalazła nadspodziewane uznanie, a że zgodnie z klasztornym zwyczajem, ten kto wygrał składał dzięki Bogu, mówiąc: „Benedicamus Domino", — przyjęto drugą część apostrofy, jako nazwę gry.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P.: P. Ciechocki w K.: Recenzji z powieści, która jeszcze nie ukazała się w druku, a więc której jeszcze nikt nie czytał, oprócz autora i Pana, zamieścić nie możemy. Bo i jakże coś oceniać, czego się nie zna. Pisać do autora o przysłanie nam tej powieści również nie możemy, gdyż pociągałoby to pewnego rodzaju zobowiązania co do jej druku. Jeżeli autor chce, może nam wspomnianą powieść przysłać do oceny, a jeżeli się będzie nadawała do „Roli“, to chętnie ją wydrukujemy. — **„Staszek“** w B.: Kiedy nadesłane wierszyki o panienkach zamieścimy, trudno nam oznaczyć, gdyż wierszy mamy dość duży zapas w tece. — **Józef Cieplik** w K.: Zagadki zachowujemy do druku. Roczniki „Roli“ po zniżonej cenie są nieoprawne. — **Leokadja Tarajkówna** w F. de C.: Miło nam, że „Rolą“ jest tak chętnie czytaną we Francji i że się naszym kochanym rodakom podoba. Wierszyk udatny, zachowujemy go więc do druku. Łączymy dla wszystkich pozdrowienia. — **F. Książek** w L.: Zagadki zachowujemy do druku. — **Stanisław Krzeczowski** w Ł.: Niech Pan napisze do księgarni „Wiedza i Sztuka“ w Krakowie, ul. Gołębia 1. 10/R. Gdyby nawet nie mieli, to sprowadzą od nakładcy. — **Franciszek Chorzepa** w N.: Do druku trzeba koniecznie pisać po jednej stronie papieru. Prenumerata roczna „Roli“ wynosi 12 złotych. — **Swój:** „Cudowny doktór“ nie nadaje się do druku. Treść wprawdzie dobrze jest pomyślana, ale opracowanie bardzo słabe. — **Jan Pelczar** w W. S.: Gdy nadszedł artykuł, już mieliśmy numer zapełniony, schowamy go więc na później. — **Józef Pachołek** w K.: Wierszyk zamieścimy, artykułu nie. — **Czesław Wośkowski:** Tłomaczenie dobre; zamieścimy. — **Józef Kawalec** w T.: Zagadki zachowujemy do druku. — **Stanisław Piskorski** w L.: Wszystko można zrobić, tylko trzeba chcieć. Kto się łatwo zniechęca, ten nigdy do niczego w życiu nie dojdzie. — **Jadwiga Zaleska** w M.: Miłość a miłostka to dwa zupełnie odrębne uczucia. Miłość trwa dłużej, czasem bardzo długo, zdarza się, że i do śmierci, miłostka natomiast jest to uczucie chwilowe, szybko przemijające, które najczęściej nie pozostawia po sobie w życiu żadnych śladów. — **Karol Knapik** w L.: Napisał Pan rzecz bardzo słabą, ale nie ma się Pan czego wstydzić, gdyż to nie jest zawód Pański. Prawdopodobnie gdyby ktoś kazał był zrobić Adamowi Mickiewiczowi lub Henrykowi Sienkiewiczowi buta, żaden z nich tego byłby nie potrafił. A czyż miałby się tego wstydzić? Nawet do zrobienia buta trzeba mieć specjalny talent, jak nie można napisać dobrego wiersza choćby bez odrobiny talentu. Ale wstydzić się niema czego. — **L. Kuboszek** w D.: Wszystkie wierszyki dobre, zachowamy je więc do druku. — **Adam Kwaśny** w S.: „Bieda“ zaczęła się interesująco, ale zakończenie słabe. — **Br. January** w D.: Sprawa załatwiona — wszystkie zaległe numera już w drodze. Załączamy pozdrowienia. — **Wincenty Ślusarczyk** w St. W.: Tak w pierwszej jak w drugiej sprawie poprostu nic się Panu nie należy. Składane kapitały w kasach zostały zdewaluowane. Niech się Pan w tej kasie zapyta, może coś dadzą. W drugiej sprawie, pomimo świadków, w proces niech się Pan nie wdaje, bo Pan pożyczył bratu, który zmarł, a nie bratanicy; może dobrowolnie uda się Panu coś uzyskać. — **Marcin Ożóg:** Prenumerata posyłana kwartalnie jest nieco droższa, gdyż przy kwartalnej prenumeracie musimy cztery razy czeki załączać, cztery razy wpisywać i t. d., my jednak wolimy całoroczną (tańszą) prenumeratę. Książka kucharska została wysłana 27 lutego b. r. — **Bachowski Fr.** w K.: Prosimy przysłać w liście 30 gr., a żądany numer wyślemy. — **Stanisław Walaszek** w M.: List Pański oddaliśmy temu, który dał ogłoszenie. To jedno możemy powiedzieć, że się Pan zapyta w księgarni: Kraków, ul. Gołębia 10 (załączyć znaczek). — **Ed. Jarolin** w D.: Na razie sam nie zgłoszeń było bardzo wiele. — **Antoni Lew** w H.: Niech nie wiem, gdyż dla „Roli“ obojętne, ale gdy się dowiem, napiszę. Cześć! — **Józef Kamiński** z B.: „Podróż po dalekich krajach“ będzie się ciągła jeszcze bardzo długo i nie wiemy, kiedy się skończy. Mamy do tego przygotowane bardzo wiele pięknych ilustracji, które nadal czytelników bardzo zajmować będą.

Zagadki do nagrody.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą znane przysłowie.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Sprzęt kościelny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kopalina.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Góry w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Szata biskupia.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Liczebnik.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Malarz polski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Bóg grecki (wspak).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Pierwiastek chem.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Narzędzie kowalskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Szałas.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Głupiec.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część świata.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Małe zwierzątko.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Prawo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Dom (zdrob.).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rozrywka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Dzielnica Polski (wsp.)

2. Konikówka.

(Ułożył Wł. Wicherek z B.).

P.	S	I	E	W
C	D	O	P	N
Y	J.:	Ś	O	R
O	G	A	A	A
A	W	Z	A	D
E	G	Z	M	S

Ruchem konika szachowego, począwszy od dolnej litery „W“, odczytać aktualną sentencję. Ostatnie litery „J. P.“ to inicjały, które pomogą przy rozwiązaniu.

3. Łamigłówka.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

Z poniższych wyrazów wyjąć po dwie obok siebie leżące litery i złożyć znane przysłowie:

Cecora, rymarz, krzew, wiec, wyga, wampir, wieczny, Rozen, tobo!, kwiat, cierń, Maciek, cień, wyka, ciecz, rzecz, marzec.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).

			Gorąc.
			Papuga.
			Pierw. chemiczny.

Wstawić w kwadraciki litery o podanem z prawej strony znaczeniu, aby powstał kwadrat magiczny.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 3 kwietnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 11 „Roli“: 1. Logogryf: Sienkiewicz-Krzyżacy. 2. Szarady: I. Myśliwy. II. Katylina. 3. Układanki: Gazeta-tydzień-serce-chlew-karabin-listonosz. 4. Kwadrat magiczny: Kir-ira-rab.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Władysław Gąsienica z Z., Wł. Sowiźrał z J., Zbigniew Pelc z Ł., Władysław Wicherek z B., Piotr Wenc z S., Józef Kawalec z T., Jan Struś z K., Józef Półtorak z K., Józef Cieplik z K., Piotr Nowak z Ż., Irena Kaczorówna z S., Ignacy Sojka z D., Leopold Wołek z Rz., Andrzej Dudek z N.

Nagrody wylosowali pp.: Józef Cieplik z K. i Józef Kawalec z T.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Jest rada.

— Doktór zabronił mi tańczyć.

— To zmień doktora, moja droga.



Panienka (w księgarni): Proszę o komplet dzieł Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, a także coś do czytania.



— Cicho bębnie! — woła matka w złości, bijąc dziecko.

— Jakże możesz wymagać, żeby bęben był cicho, gdy w niego bijesz?

— Jaka jest liczba mnoga od dziecka?

— Bliźnięta.

— Przebacz mi pan, żem pana wczoraj w gniewie nazwał szubrawcem.

— To nic, przecież jesteśmy kolegami.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 20 marca b. r

Pszenica	26·50—27·00	Słoma długa	5·00—5·50
Żyto .	20·00—20·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	24·00—24·50	Koniczyna nasienn. czer.	310·00—330·0
Jęczmień .	22·50—23·00	Mąka żytnia	35·00—35·50
Fasola biała	38·00—42·00	Mąka pszen.	50·00—51·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Otręby pszen.	17·00—17·50
Siano słodk.	13·00—14·00	Otręby żytnie	16·00—16·50
Łubin żółty	33·50—35·50	Mąka czerw.	18·50—19·00
Koniczpastew.	15·00—17·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 k.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 20 marca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·59 do 1·20 zł.	Jałownik	od 0·77 do 1·18 zł.
Woły . .	od 0·83 do 1·22 zł.	Cielęta .	od 0·73 do 1·50 zł.
Krowy .	od 0·50 do 1·10 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł
Nierogaciznę	1·6 do 1·45 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·50 do 1.95

Wapno bardzo dobre do budowy, jakoteż do bielenia i dla celów rolniczych można nabyć u firmy:

Stanisław Żółkiewicz i Ska
W CZUDCU

Fabryka Wapna, Cegieł i Wyrobów Betonowych
Telefon Nr 8.

Skradziono dwa ule słowiańskie 16 i 18 ramkowe. Za wiadomość o tych ulach dam 15 zł. nagrody. Adres: Jan Godula, Brody 177, poczta Kalwarja Zebrzydowska.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego
w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.

Sztuczna węza z głębokiemi komórkami

Węza nasza jest jedną z najlepszych dlatego, że jest wyrabiana na aparacie przezemnie wynalezionym. Dlatego węza ta jest elastyczna i mocna, jak skóra.

Żądajcie bezpłatnie cennika i próbek **węzy sztucznej z głębokiemi komórkami.** 17 arkuszy na kilo.
Adres: E. Radomski, p. Klewań 2.



Rewolucja Cen!!!

Z powodu nagromadzenia towaru. Wysprzedajemy **zegarek kryty „ANKER“ ze złota** amerykańskiego z trzema kopertami za zł. 11.00, 12.95, znacznie lepszy gatunek 14.95 (zamiast 65), nic nie różniącego się od prawdziwego złota 14 kar. wysyłamy na listowne zamówienie zegarek praktyczny, modny dla każdego człowieka tak dla robotnika jak inteligenta, ochraniają od kurzu jak i od rozbicia się szkła, płaski wyr. do minuty „Ankier“ według niniejszego rys.) z 10-letn. gwar., 2 szt. 25.47, najlepszy gat. 16, 18, 22, 28, 35, 40, 50. — Zeg. męski lub damski na rękę 11, 12, 14, 16, 18, 25, zegarki reklamowe kieszonkowe odkryte 5.85, 7.75, 10.75, budziki 9, 10, 12, 14. Dewizki z amer. złota zł. 1.50, 2, 4, 6, 8. Brzytwy zagran. 5.60, 5.75, 7.60, 7.75. Maszynki do strzyżenia włosów z zapas. grzebieniami 8.50, 10.95, 11.95. Za koszta przesyłki płaci kupujący.

Oświadczamy, że żadnej filji nie posiadamy i z firmami nowopowstałemi nie mamy nic wspólnego. Firma egzystuje od roku 1905. — Nagrodzona wieloma złotemi medalami i krzyżami. — Adresować:

Przedstawicielstwo Szwajcarskich Zegarków
ED. JAKUBIŃSKI, WARSZAWA,
Pl. Napoleona, oddz. 9 a, skrz. poczt. 237.

Mnóstwo listów dziękczynnych z powodu braku miejsca zamieszczamy niektóre. Niniejszem zamawiam zegarek z amer. złota, jest to już trzeci zegarek i z poprzednich jestem zadowolny. Jan Marczak, Chełm Lubelski.

Dobry zegarek kupisz tylko w znanej we wszystkich dzielnicach kraju, naszej firmie

Wyciąć! Zachować! Rekomendować!

Bandażysta!

Specjalny. Fachowiec od lat 40

A. M. MIRKIEWICZ
Kraków, Mostowa L. 4.

Poleca bandaże przepuklinowe własnych ulepszeń bardzo praktyczne i wygodne w noszeniu. Również pasy bez sprężyn nowych systemów. Pasy brzuszne oraz pooperacyjne itp. Dla dzieci nowość niebywała bardzo skuteczna. Wykonuję pod gwarancją.

Praktyczne wyjaśnienia listowne (Na odpowiedź znaczek). Ostrzega się przed blagierami niefachowymi, którzy narażają na różne przykrości itp.

Sprzedam 20 mórg ziemi, w tem 1 mórg łąki nadbrzeżnej. ziemia pszenna, buraczana, dobrze wyrobiona i wynawożona, ośrodek folwarku, pod spodem glina. Zasiew zimowy dobry, wiosenny dodaję. Budynki drewniane nowe. Dom na dwa mieszkania, sień i komora, obora, chlew, stodoła na dwa boiska i wozownia. Studnia w podwórzu betonowana, 40 drzew, narzędzia rolnicze dobre, kierat, maszyna, wialnia, sieczkarnia, waga, pług i t. d., do tego: pasza, słoma. Miejscowość wesoła, wyżyna, do miasta i kościoła 3 km., cerkiew i szkoła w miejscu, do stacji 5 km., do miasta Włodzimierza 20 km. Sprzedaż na miejscu. Cena 35 tysięcy złotych. — Adres kolejowy: Główna stacja Włodzimierz, boczny przystanek Chorostów. — Adres: Andrzej Kosacki, kol. Buniawa, poczta Łokaczę, Wołyń.

Tani miesiąc w Administracji „Roli“
na roczniki „Roli“

Kto zatem nadeśle w ciągu miesiąca marca b. r. kwotę **6·80 zł.** otrzyma rocznik »Roli« z roku 1927, 1928 lub 1930. Prosimy nie zwlekać, gdyż zapasy mamy niewielkie.